

wyborcza

# DUŻYFORMAT

NR 30/1543

MAGAZYN REPORTERÓW

7 SIERPANIA 2023



RYS. BARBARA NIEWIADOMSKA

Po leczeniu w szpitalu psychiatrycznym

# ŻYCIE W UKRYCIU

1RP



## Rozmowa „Dużego Formatu”

NIE JESTEM ZŁY  
na Polaków

**Buntuję się przeciwko zapominaniu o antysemityzmie polskim. Tym niezależnym od nazistów. Przedwojennym i powojennym.**

**1** Z **IVANEM JABLONKĄ**, FRANCUSKIM HISTORYKIEM I PISARZEM, AUTOREM KSIĄŻKI „HISTORIA DZIADKÓW, KTÓRYCH NIE MIAŁEM”, ROZMAWIA **TOMASZ KWAŚNIEWSKI**

**Jeśli chodzi o narodowość, to jak się pan określa?**

– Jestem oczywiście Francuzem. Czuję się też bardzo Europejczykiem. Oraz Żydem. Ale jest to judaizm, który wpisuje się w historię europejską. Czyli czuję się bliżej Polski, Francji i Niemiec niż na przykład Izraela.

**I o czym pan napisał tę swoją książkę?**

– Chciałem w niej opowiedzieć historię moich dziadków, którą streszczę kilkoma kluczowymi słowami: urodzeni w Polsce, działacze komunistyczni, mniejszość żydowska, ucieczka do Francji, gdzie potem byli prześladowani jako obcokrajowcy bez papierów, druga wojna światowa i Auschwitz.

To jest nie tylko książka historyczna, ale też mowa pogrzebowa. Praca nad nią zajęła mi sześć lat.

**A po co pan ją napisał?**

– Pierwszym powodem jest mój ojciec. To figura wielkiej inteligencji, ale również złości, czasami też słabości. Chciałem w ten sposób niejako mu coś darować. Wyjaśnić, skąd pochodzi, pokazać, kim byli jego rodzice. Powiedzieć, że mimo tego, że byli zupełnie anonimowi, nie mieli znaczenia, zasługują na książkę.

**Odnosił pan wrażenie, że ojciec ma tu w sobie jakąś dziurę?**

– Oczywiście, miał przecież dwa lata, jak zginęli jego rodzice.

**Ale to było po nim jakoś widać?**

– To się szczególnie manifestowało w tym jego połączeniu humoru i rozpacz. Czulem, że z jednej strony jest w nim chęć ucieczki od tej historii, a z drugiej – ogromny jej brak. Przy czym nie są to rzeczy, które były między nami wypowiedziane – często się zdarza, że dzieci robią coś, co rodzice by sobie życzyli, ale to właśnie nigdy nie zostaje wyrażone wprost.

**I tata jest dziś zadowolony, że powstała ta książka?**

– Dziesięć lat później już tak. Ale po jej publikacji uważał, że ma tysiące wad, miał pełno krytycznych uwag.

**Na przykład?**

– Ta krytyka była absurdalna. Na przykład kiedyś powiedziałem, że dziadkowie w Paryżu mieli bardzo ciężkie życie, mieszkali w norze ze szczurami. I wtedy się zdenerwował, zaczął krzyknąć: „Nie, moi rodzice nie byli szczurami!”.

To też pokazuje, dlaczego on nie byłby w stanie napisać tej książki, a ja już tak.

**A dla siebie pan też jakoś ją napisał?**

– Nie, ja ją też napisałem dla moich córek. Myślę, że to ważne, żeby móc wyjaśnić córkom ich pochodzenie.

**Czyli napisał pan ją dla taty, dla córek, a dla siebie nie?**



– Tak. Powiedziałbym, że ja w tej książce jestem emocjonalnie nieobecny. Taka zresztą jest rola historyka – nie płaczę, nie narzekam, nie zloszczę się, po prostu chcę zrozumieć. I też dlatego ta książka natychmiast została uzupełniona inną, traktującą o metodzie historiograficznej, którą stosuję i której użyłem przy pracy nad tą historią.

To, co zrobilem, to pokazałem, jak mikrohistoria dwóch anonimowych istot łączy się z historią Polski, Francji, Europy. To jest zresztą cała moja koncepcja historii: historia to jest opis wszystkich anonimowych żyć.

Nie ma tu więc nastawienia psychologicznego. Bo też, pisząc tę książkę, działałem jako historyk, a nie jako wnuczek.

**Ale to przecież nieprawda. W tekście jest wiele pana emocji, i to wyrażonych wprost, w szczególności złość i smutek. Są wręcz momenty, kiedy pan pisze, że z oczu płyną panu łzy.**

– To prawda.

**Co więc ta książka, a dodajmy, że od jej pierwszego wydania we Francji minęło już prawie dziesięć lat, panu dała?**

– Dzięki pracy nad nią nauczyłem się być wnuczkiem, kochać moich dziadków.

Jak mówimy słowo „dziadkowie”, to wszyscy wyobrażają sobie starszego pana, panią, którzy czytają bajki, przygotowują posiłki, chodzą na spacer. W moim przypadku absolutnie tak nie było. To była zupełna ich nieobecność.

Moi dziadkowie byli jednocześnie moimi bliskimi i całkowicie obcymi mi osobami.

Oni zginęli w 1943 roku, 30 lat przed moim urodzeniem. Między mną a nimi jest też przepaść, jeśli chodzi o poglądy polityczne: oni byli komunistami czasu Stalina, ja miałem 15 lat, jak upadł mur berliński.

Oni byli żydowskimi rzemieślnikami, dziadek wytwarzał wszystko, co można, ze skóry, babcia była krawcową, a ja jestem francuskim historykiem.

Oni mówili w jidysz i po polsku, ja tych dwóch języków nie znam.

Gdybyśmy się więc spotkali, nie wiem, co mielibyśmy wspólnego poza DNA. Ale właśnie w trakcie pracy nad tą książką stawali mi się coraz bliżsi, coraz bardziej realni, pokochałem ich za to, jak żyli.

**No dobrze, ale co to w sumie znaczy, że pan nauczył się kochać swoich dziadków?**

– No właśnie, że zrozumiałem bardziej ich życie niż ich śmierć.

Wcześniej oni istnieli dla mnie tylko niejako dlatego, że byli ofiarami Auschwitz. Ich los sprowadzał się do tego, że byli żydowskimi ofiarami Holocaustu. A tu stopniowo dotarła do mnie cała reszta. To, że się urodzili w ortodoksyjnej żydowskiej rodzinie. Że w bardzo młodym wieku stali się działaczami partii komunistycznej. Że w związku ze swoimi poglądami wyładowali w więzieniu. Że uciekli z Polski do Francji. A potem przysłała II wojna światowa. To jest właśnie życie. I teraz kocham ich przez ich życie. Nawet jeśli pewne ich wybory, w tym polityczne, nie są moimi.

**Za co szczególnie ich pan polubił?**

– Myślę, że oni ucieleśniali odwagę w głoszeniu swoich poglądów. Byli im wierni mimo prześladowań, które działały się wobec takich osób jak oni w ówczesnej Europie. I właśnie w tym sensie moi dziadkowie przeżyli całe swoje życie w podziemiu. Na początku jako komuniści w II Rzeczypospolitej, później jako obcokrajowcy bez wizy we Francji i na koniec jako Żydzi w nazistowskiej Europie. To są te trzy, jak to nazywam, ich formy nieobecności w świecie.

**No tak, ale czy są jakieś proste rzeczy, które pan w nich polubił? Na przykład moja babcia robiła najlepszą zupę grzybową na świecie...**

– I to jest dokładnie to, czego nie mam.

Moi dziadkowie to są istnienia jedynie na papierze. Ale rzeczywiście jest taka rzecz, która bardzo mi się spodobała. Otóż w archiwach znalazłem, że gdy dziadek w 1943 roku zatrzymała francuska policja... Dokładnie tam jest napisane, że Mates Jablonka, bo tak się nazywał, został zatrzymany 25 lutego 1943 roku, i pod spodem jest dopisane: „rebelia”. O co chodzi? Zapytałem kolegów specjalistów od policji z tamtego okresu i dowiedziałem się, że prawdopodobnie oznacza to, że dziadek zbuntował się przeciwko policjantom...

**Bił się z nimi?**

– Tak, prawdopodobnie próbował im dolać. I uznałem, że to było odważne. I że to odpowiada innej anegdotce, którą również odnalazłem w archiwach. A mianowicie w dokumentach więziennych związa-

nych z jego uwięzieniem w Polsce w 1934 roku jest informacja, że banda komunistów, a dziadek siedział w celi wraz ze swoimi kumplami komunistami, zorganizowała protest w celi.

Dziadek musiał więc być odważny – polskie więzienie w 1934 roku to nie był Disneyland.

**W pana książce jest wątek, który zrobił na mnie szczególne wrażenie, a dotyczy ludzi, którzy są komunistami, anarchistami, uciekinierami z Hiszpanii do Francji. Oni wszyscy w niesamowity sposób sobie pomagają. Jak to czytałem, pomyślałem: „Kurczę, skoro istnieli tacy ludzie, tak działający, to może rzeczywiście możliwy jest świat oparty na trosce i współdziałaniu”.**

– Mam ogromny podziw dla socjaldemokracji z lat 30. Takich osób jak Léon Blum we Francji, George Orwell w Anglii czy Korczak w Polsce. To są ludzie, którzy ucieleśniali solidarność, braterstwo, sprawiedliwość społeczną i oczywiście antytotalitaryzm, walcząc przeciwko Hitlerowi oraz Stalinowi. Wydaje mi się, że ci międzynarodowi socjaldemokraci reprezentowali najwyższe wartości europejskie w całym XX wieku. A jednym z tego symboli są też hiszpańskie Brygady Międzynarodowe.

**Dodajmy, że gdyby nie tego typu ludzie, ich pomoc i troska, w szczególności potężnej postury Konstanta, anarchisty, którego historię pan wydobył, pana dziadkowie w ówczesnej Francji mieliby jeszcze trudniej.**

– Tak, i tu od razu trzeba dodać, że to, co ich łączyło poza poglądami, to była właśnie zwykła solidarność. A to, co było jej jednym z najpiękniejszych przejawów, to ratowanie żydowskich dzieci. W szczególności mojego ojca i ciotki po wywiezieniu ich rodziców do Auschwitz.

Żeby ocalić dwójkę żydowskich dzieci, trzeba było pomocy: anarchistów, komunistów, żydowskiego ruchu oporu, w sumie około 30 osób, wszystkich ze skrajnej lewicy.

To pokazuje też horror tamtej epoki – 30 dorosłych osób, żeby ocalić dwójkę dzieci.

**Czuje pan złość na Francję za tamten czas?**

– Mam obrzydzenie do ówczesnych reżimów politycznych, które doprowadziły do tego, co wtedy się działo. Czyli, po pierwsze, autorytarnych, antysemitycznych rządów w Polsce pod koniec lat 30. Potem oczywiście nazistów i reżimu Vichy. Czyli francuskich współpracowników niemieckich nazistów. Tak ich nazywam, bo wyrosłem w myśli, że to, czego trzeba nienawidzić, to hitleryzm, ale nie lud niemiecki.

**To teraz słówko o metodzie.**

– Przede wszystkim była to praca badawcza, oparta na źródłach. Te znajdowałem w archiwach publicznych. I to jest ważne, że to nie są archiwa rodzinne. Chodzi o to, że każdy mógłby do nich dotrzeć.

Książka opiera się również na świadectwach mówionych, a także moich podróżach. Przy czym tą najważniejszą był wyjazd do Parczewa, do sztetlu, gdzie urodzili się moi dziadkowie...

**To zaraz, a teraz chwilę o pracy nad tą książką.**

– Osoby, z którymi się spotykałem, archiwa, których dokumenty mnie interesowały, były: we Francji, w Niemczech, w Polsce, w Izraelu, w Stanach Zjednoczonych i w Argentynie. W każdym z tych państw musiałem mieć więc coś w rodzaju zespołu: koledzy, koleżanki pomagali mi szukać, tłumaczyli dla mnie z hiszpańskiego, hebrajskiego, polskiego i jidysz.

• **Ivan**

**Jablonka:**

historyk, pisarz, wykładowca na Université Sorbonne Paris Nord. Ma 49 lat i trzy córki. Dużo pływa, głównie kraulem. Jako że to jest nudne, żona kupiła mu wodoodporne słuchawki. Pływając, słucha Biblii. Szczególnie ekscytujące w tych warunkach, mówi, jest słuchanie historii o potopie. Jego książka „Historia dziadków, których nie miałem” (tłum. Katarzyna Marczeńska) została wydana przez Ośrodek Karta.



**I co pan takiego szczególnie ważnego dla siebie znalazł?**

– Wyrok skazujący dziadka, gdy jeszcze mieszkał w Parczewie. To naprawdę nie było łatwe, żeby znaleźć coś takiego, wydanego na jakiegoś młodego, drobnego komunistę, który działał w małej miejscowości w 1933 roku. Nawet dla zawodowego polskiego historyka, który mi w tym pomagał.

**A gdzie pan znalazł ten dokument?**

– W archiwach w Radzynie Podlaskim.

**Ktoś dał panu cynk?**

– To było tak, że z prośbą o udostępnienie jakichś dokumentów archiwalnych dotyczących Parczewa zwróciłem się do państwowych archiwów w Lublinie. I wtedy oni skierowali mnie do stolicy powiatu. Napisałem więc do dyrektorów archiwum w Radzynie Podlaskim, że szukam wyroków skazujących działaczy komunistycznych z tamtego okresu. Odpowiedzieli, że nie mają pojęcia co, gdzie, jak. Ale nalegałem...

Pamiętam, że jak pierwszy raz do nich zadzwoniłem, mówiąc, że szukam archiwów na temat komunistów skazanych z artykułu 93 kodeksu karnego – bo przed wojną w Polsce aktywizm komunistyczny był uznawany za zbrodnie przeciwko państwu – to odniosłem wrażenie, że pani przy telefonie jest zaniepokojona. Chyba zrozumiała, że sam jestem jakimś terrorystą.

**A ten najcenniejszy z dokumentów, który pan znalazł, jest jaki?**

– To jest z końca życia dziadka. Mówi o tym, że w 1943 roku były listy wysyłane z Auschwitz do Paryża – jak to zobaczyłem, to byłem autentycznie zdumiony. Samym faktem, że istniało tego typu połączenie między ośrodkiem eksterminacji, jakim był Auschwitz, a Paryżem.

Do tego okazało się, że autorem jednego z takich listów był mój dziadek.

**I co on w nim pisze?**

– Tego nie wiadomo. Wiemy, że były listy, bo zachował się ich rejestr, natomiast sam list dziadka zaginął.

Rozmawiałem o tym z najlepszymi specjalistami od obozu w Auschwitz i oni mi powiedzieli, że najprawdopodobniej to były listy, które miały na celu uspokojenie rodzin. Były pisane w momencie przyjmowania ludzi do obozu, następnie oni byli mordowani, a po jakimś czasie naziści wysyłali te listy. I to jest część tej uniwersalnej historii, którą przy okazji opowieści o moich dziadkach udało mi się dotknąć.

**A taki dokument, który pan zachował dla siebie, bo tego akurat, jak rozumiem, nie ma pan w swoich zbiorach?**

– Bardzo lubię małe zdjęcia z dokumentów moich dziadków. W sumie istnieją takie może cztery. A z nich szczególnie lubię to przypięte do dokumentu wyjazdowego babci, kiedy opuszczała Polskę w drodze do Francji. Pieczęć mówi, że to był Zbąszyn. Celnik też zanotował, że miała futro w kolorze brązowym.

**Kiedy pan pierwszy raz przyjechał do Parczewa?**

– W 2009 roku.

**To nim pan powie, co pan zobaczył wtedy, proszę powiedzieć, jak sobie wyobrazić Parczew, kiedy żyli w nim pana dziadkowie.**

– Małe miasteczko, 50 proc. katolików, 50 proc. Żydów. Polacy raczej zajmują się rolnictwem, Żydzi drobnym handlem i rzemiosłem. Wszyscy są raczej biedni.

Jeden kościół katolicki, jedna synagoga, szkoły katolickie, szkoły żydowskie, względnie dobre współistnienie. Sytuacja się komplikuje w latach 20., a jeszcze bardziej w 30. – archiwa pokazują napięcia na tle politycznym i religijnym: politycznym w związku z komunizmem, religijnym w związku z antysemityzmem.

Moi dziadkowie jako komuniści i Żydzi są w środku tego.

Tu warto wiedzieć, że ówczesna społeczność żydowska była zróżnicowana politycznie. To jest fałszywe historycznie wyobrażenie, że wszyscy Żydzi byli komunistami. Przeciwnie: komuniści wśród Żydów to mniejszość. Więcej było bundystów, czyli antysyjonistycznych socjalistów. Całkiem sporo było syjonistów, a syjonizm wówczas to był ruch bardzo ożywiony: byli syjonisci pravicowi, lewicowi, tacy, którzy opowiadali się za powrotem do Palestyny, i tacy, którzy chcieli stworzenia republiki żydowskiej w Europie. Ale i tak największą grupę stanowili ortodoksi, dla których po prostu wstydem było bycie komunistą. Również dlatego, że to było uznawane za coś antypolskiego.

Moi dziadkowie byli więc wykluczeni nawet ze swojej żydowskiej społeczności.

– *Buntuję się też przeciwko zapominaniu o tym składniku społeczeństwa polskiego, jakim byli Żydzi*



### W książce pisze pan, że komunistów wśród Żydów było kilka procent, natomiast wśród komunistów było wielu Żydów.

– Dokładnie tak. Partia komunistyczna była wtedy jedyną partią otwartą na Żydów. Do tego proponującą lepszy świat. Oczywiście utopijny. Ale to właśnie z tych powodów sporo młodych Żydów, zerwawszy z ortodoksją, szło w stronę komunizmu.

Ojciec mojego dziadka prowadził w Parczewie łaźnię rytualną, trzeba więc sobie wyobrazić bardzo tradycyjną rodzinę żydowską. To, że mój dziadek staje się komunistą, jest więc też formą buntu przeciwko ojcu.

### Dziadek miał rodzeństwo?

– Tak, w sumie było ich pięcioro, wszyscy poszli tą samą drogą.

### No właśnie, i jak to szło dalej?

– Relacje między Polakami i Żydami stają się coraz bardziej napięte. I to nie tylko w Parczewie. Po prostu Polska od połowy lat 30. staje się oficjalnie antysemicka...

### Oficjalnie?

– Niedawno na Uniwersytecie Warszawskim została odsłonięta tablica upamiętniająca ofiary getta ławkowego, które polegało na wydzieleniu w salach wykładowych miejsc przeznaczonych dla Żydów w celu odseparowania ich od reszty studentów. Polski rząd oficjalnie zezwolił na to we wrześniu 1937 roku. Jak wiemy, wtedy Niemców jeszcze nie było w Warszawie.

I kolejna ważna rzecz: już po wojnie odbyło się w Polsce wiele pogromów Żydów. Do tego największego doszło w lipcu 1946 roku w Kielcach, ale był też m.in. pogrom w Parczewie...

### W którym roku?

– 1946.

W 1942 roku wszyscy Żydzi z Parczewa zostali spędzeni na rynek: 4500 Żydów zostało odesłanych do Treblinki, zagazowanych. Kilkudziesięciu ukryło się w okolicznych lasach. Niektórzy zostali wylapani przez Niemców i zabici. Wojnę przeżyło może 30, w warunkach absolutnie niewiarygodnych. Wychodzą z lasu i idą do siebie, do Parczewa. A tam ich sąsiedzi katolicy: „A to wy jeszcze żyjecie?”. Pełne zaskoczenie.

Kilka miesięcy później ma miejsce pogrom. Zorganizowany przez jakichś studentów, partyzantów, nie wiadomo, czy Armia Krajowa miała też w tym swój udział. To, co wiemy, to to, że były przemoc, grabienie, trzy osoby poniosły śmierć. W rezultacie wszyscy ci, którzy przeżyli, wyjechali z Parczewa. I tym samym Parczew stał się rzeczywiście judenfrei.

Oczywiście to naziści wymordowali Żydów z Parczewa, ale polscy sąsiedzi dokończyli dzieła. Dokładnie tak, jak to opisuje w swojej książce o Jedwabnem Jan Tomasz Gross.

Gdy ponad 60 lat później pojechałem do Parczewa, to nie tylko nie było tam jakichkolwiek Żydów, ale też mam wrażenie, że wielu mieszkańców nie było świadomych, że Żydzi wcześniej w tym miejscu żyli. Bo tam nie było żadnego po Żydach śladu.

### No właśnie, bo co pan wtedy zobaczył, gdy pojechał do Parczewa?

– Obok urzędu miasta był dom weselny, ale to była przecież dawna synagoga.

Wcześniej, za czasów komunistów, tam było kino.

Dawny żydowski dom modlitwy stał się targowiskiem z używaną odzieżą. A jeśli chodzi o dom mojej rodziny, to myślę, że jacyś dobrzy Polacy teraz w nim mieszkają. Czyli budynki wciąż istnieją, ale cała pamięć żydowska została zamazana.

I żeby było jasne, ja nie wracałem do Polski, żeby żądać zwrotu domu rodzinnego. Broń Boże! Ale bardzo bym chciał, żeby w Parczewie znalazła się kiedyś tablica pamiątkowa mówiąca o tym, że w tym mieście mieszkali Żydzi.

### W książce pan pisze, że w tym miejscu, w którym kiedyś był cmentarz żydowski...

– ...powstał park.

### Spaceruje się więc...

– Tak, i takich miejsc w Polsce są tysiące.

Omer Bartov, historyk uznawany za jednego z najwybitniejszych światowych badaczy Holocaustu, w jednej ze swoich książek pokazuje, jak zniknęły z Polski, Białorusi, Ukrainy ślady obecności Żydów. Oczywiście z powodu nazistów, ale również potem polityki komunistycznej.

Powtórzę: bez wątpienia to naziści zgładzili Żydów, ale po wojnie komuniści też zacierali o nich pamięć.

Zasadniczo chodziło o przekaz, że wszyscy Polacy bardzo ucierpieli w czasie II wojny światowej, i już nie rozróżniano między Żydami, katolikami, partyzantami itd. Po prostu był jeden wielki mit polskiej martyrologii narodowej.

### I jak pan dziś to opowiada, to co pan czuje?

– Mam uczucie buntu.

Nie jestem zły na Polaków – zresztą sam w jakimś sensie czuję się Polakiem, mam polskie nazwisko – ale uważam, że to nie jest dobrze, że zapomina się o części swojej przeszłości.

Jestem zaniepokojony Polską dzisiaj. I nie mówię tu o prawach kobiet, prawach mniejszości seksualnych, praworządności. W tej chwili na myśli mam polską pamięć. Jak pan zapewne wie, rząd polski od 2015 roku atakuje polskich historyków, którzy jednakoż zrewolucjonizowali polską historiografię. Mam tu na myśli: Jana Tomasza Grossa, panią Tokarską-Bakir, Barbarę Engelking...

### Ale przeciwko czemu dokładnie pan się buntuje?

– Zapomnieniu. Obojętności.

### Ale zapomnieniu czego? Polskiego antysemityzmu? Tego, że mieszkali tu Żydzi?

– Antysemityzm przed wojną był i w Polsce, i w Niemczech, i na Węgrzech, i w Rumunii...

### ...i w wielu, wielu innych krajach.

– Tak jest. A potem był Holocaust, ale też to, co profesor Gross nazwał zbrodnią sąsiedzką. Oczywiście, my wiemy, że było wielu Sprawiedliwych wśród Polaków, wielu Polaków, którzy ratowali Żydów. Co nie zmienia faktu, że w Kościele polskim, wśród chłopów polskich, było też wielu, którzy cieszyli się, że Żydów już nie ma.

Dziś Polska nie może zapomnieć o swojej żydowskiej przeszłości. Tymczasem, po pierwsze, zawsze było tu dużo sił politycznych i religijnych, które były obojętne na przeszłość żydowską. A po drugie, od 2015 roku według mnie rząd polski nie ma ochoty o tym sobie przypominać.

### Ale wciąż nie rozumiem, przeciwko zapominaniu czego konkretnie pan się buntuje. Proszę mi to powiedzieć wprost.

– Buntuję się przeciwko zapominaniu o antysemityzmie polskim, tym niezależnym od nazistów, przedwojennym i powojennym. I buntuję się przeciwko zapominaniu o tym składniku społeczeństwa polskiego, jakim byli Żydzi.

Jak słyszę tych, których mówią, w Kościele, w rządzie, czy niektórych intelektualistów, że Polska jest krajem katolickim, to jestem zszokowany. Bo to nie jest prawda. Polska ma bardzo istotny komponent żydowski, i to od wielu wieków. Ale jak patrzę wkóło, to zadaję sobie pytanie: gdzie są ich groby? Gdzie są cmentarze Żydów, chociażby tych z Parczewa, ale też z tysięcy innych takich miejsc?

### To niech mi pan powie, jak pan myśli, bo przyznam się, że ja tego nie rozumiem: o co chodzi tym politykom, temu rządowi, tym Polakom, co tak mówią?

– Chce pan usłyszeć zdanie Francuza, Żyda na temat Polski?

### Też wnuka polskich Żydów. Po prostu Jablonki.

– Jestem pełen podziwu za to, jak Polska w ciągu ostatnich 30 lat stała się krajem de-



mokratycznym, nowoczesnym, liberalnym. Gdy się teraz przyjeżdża do Warszawy, to jest wśród Europejczyków, kelnerki w kawiarniach mówią perfekcyjnie po angielsku.

Wszyscy też widzieliśmy tę wielką, niesamowitą falę solidarności w stosunku do Ukraińców uciekających przed wojną.

Polska w stosunku do Rosji jest dziś przedmurzem demokracji.

Ale jednocześnie jestem zaniepokojony w związku z dwoma kierunkami, w jakich od ośmiu lat zmierza polski rząd. Pierwszy to jest zagrożenie demokracji, praworządności, w szczególności niezależności sądownictwa, praw kobiet, praw mniejszości seksualnych. A drugi to reakcyjna tożsamość polska definiowana jako tak zwana polskość, co sprowadza się do katolicyzmu oraz męskości bardzo kojarzącej mi się z Donaldem Trumpem, Bolsonaro czy innymi autokratami.

### Trzymajmy się Żydów.

– No więc jeśli chodzi konkretnie o Żydów, to nie mam wrażenia, że oni w dzisiejszej Polsce są zagrożeni. Również dlatego, że prawie ich tutaj nie ma. Polska wciąż jest judenfrei...

### No właśnie, dlaczego więc ten temat wciąż jest tak ważny, budzi tyle emocji?

– Bo Polska jest krajem, który kiedyś był żydowski.

Polska jest dziś nawiedzana przez fantomy. Mam na myśli zmarłych – ich nie widać, ale wokół nas są miliony duchów. I te duchy, ci Żydzi, którzy tu kiedyś byli, według mnie stanowią istotną część historii Polski, istotną część polskiej tożsamości. To więc, co trzeba, to złożyć hold, oddać cześć tym sąsiadom, braciom, siostronom, którzy zniknęli. I też dlatego ta moja książka wydaje mi się ważna, a nawet niezbędna dla Polski dzisiaj.

### Ale jak pan myśli: dlaczego tak wielu Polaków, w szczególności wielu polityków dziś rządzących, ma taki problem z przyjmowaniem tej informacji o tym, że w Polsce był antysemityzm? Że w czasie wojny wielu polskich nie-Żydów...

– Jakbyśmy się cofnęli na koniec XVIII wieku, do rozbiorów Polski, to wtedy Polska została wymazana z mapy świata. I wówczas nastąpił wielki wysiłek ze strony narodu polskiego, aby nadal istnieć.

Żeby to się stało, trzeba było wymyślić tożsamość narodową. I ona, ta polska narodowa tożsamość, według mnie jest jednym z najcenniejszych skarbów w tym kraju.

To, co mnie niepokoi, to chęć kojarzenia polskiej tożsamości narodowej tylko i wyłącznie z Kościołem katolickim, tradycyjnie pojmowaną męskością oraz legendami, że wszyscy w czasie wojny byli w ruchu oporu.

To jest mitologia narodowa, która składa się na polską tożsamość narodową.

Jako historyk uważam, że tożsamość narodowa jest dużo bardziej złożona niż jakieś hasła, niż powiedzenie: „Wszyscy Polacy to katolicy”. „Wszyscy Polacy byli

przeciwko w czasie wojny”. „Wszyscy Polacy byli wtedy ofiarami”. To są klisze.

I właśnie na tym polega praca historyka, żeby pokazać, że to jest bardziej złożone.

### Rozumiem, że Żydzi są tymi, którzy tę narrację rozbijają?

– Oczywiście. Tak samo jak mniejszości seksualne, kobiety – to wszystko daje inny obraz, inną przeszłość, inne rozumienie tego, co znaczy „polskość”. I wszyscy ci ludzie według mnie są bardzo, bardzo potrzebni.

### Wróćmy do Parczewa lat 30.: co się wtedy dzieje z pana dziadkiem i babcią?

– Należą do młodzieżówki partii komunistycznej. I w tym małym Parczewie zaburzają umysły. Czyli rozwieszają plakaty, organizują manifestacje, generalnie robią szum, który niekoniecznie jest mile widziany. Miejscowa policja w pewnym momencie stwierdza: dość. Zaczynają się wymierzone w nich działania. W rezultacie dziadkowie razem z innymi kolegami i koleżankami komunistami są zatrzymywani, wypuszczani, zatrzymywani i znów wypuszczani – to jest trochę taka zabawa w kotka i myszkę. Aż zapada poważniejsza decyzja, czyli dostają wyrok skazujący na kilka miesięcy więzienia, ostatecznie na pięć lat. Za zbrodnię przeciwko państwu.

To jest właśnie ta zbrodnia, która tak przeraziła archiwistkę z Radzyna Podlaskiego.

W 1933 roku zarówno babcia, jak i dziadek są już za kratkami. Zresztą podobnie jak ich koledzy, koleżanki komuniści.

Ze świadectw komunistów, którzy opisywali swój pobyt w polskim więzieniu w latach 30., wylania się obraz nie tylko naprawdę trudnych warunków, ale też dużej solidarności między więźniami. Niektóre świadectwa mówią, że ten pobyt w więzieniu był dla ich autorów niczym uniwersytet polityczny, bo oni, trzeba pamiętać, byli czesto młodzi. A ponieważ byli rzemieślnikami, to wiadomo, kończyli edukację po osiągnięciu podstawowego stopnia. A w więzieniu rozmawiali, czytali, dyskutowali...

### Dziadkowie są z którego rocznika?

– Dziadek: 1909 rok. Babcia: 1914 rok.

Oni w tym więzieniu rozwijają się intelektualnie.

Zostają zwolnieni trochę wcześniej, w 1936 roku oboje wychodzą na wolność. I żeby ponownie nie trafić do więzienia za poglądy, jednocześnie widząc, że Polska jest już w trakcie stawania się oficjalnie państwem antysemickim, wybierają uchodźstwo. I tu jest pytanie, na które cały czas nie mam odpowiedzi: czy oni chcieli pojechać do Francji, bo to jest kraj wielkiej rewolucji, kraj praw człowieka, czy też Francja miała być tylko etapem w drodze do Argentyny, gdzie mieszkali już dziadka siostra i brat?

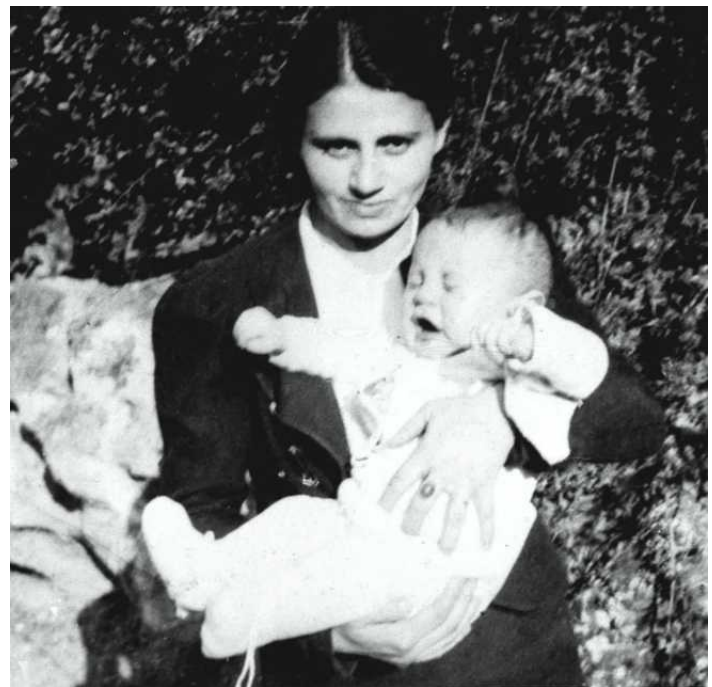
Tu ważne jest, żeby wiedzieć, że to rodzeństwo, które wcześniej wyjechało z Polski, nie miało na swoim koncie wyroków skazujących. A ważne jest dlatego, że





- **Parczew, dawny żydowski dom modlitwy (2009)**
- **Mój ojciec w Parczewie, lata 80.**
- **Moja babcia Idesa i mój ojciec**

FOT. ARCHIWUM  
IVANA JABLONKI



ze wszystkich stron zjeżdżają: Niemcy antynazistowski, Żydzi oczywiście, włoscy antyfaszyści, wkrótce dołączają Austriacy, Czesi, Słowacy i Polacy, a w szczególności Żydzi stamtąd, z Rosji radzieckiej anty bolszewicy, republikanie z Hiszpanii, uciekający przed generałem Franco. Wszyscy ci ludzie, to są miliony osób, przyjeżdżają do Francji.

I w tym gdzieś jest też Matys Jablonka, który na dodatek miał wyrok skazujący. Stara się o zgodę na pobyt. Nie dostaje jej. Dołącza do niego babcia. Rodzi im się dwójka dzieci. Żyją w biedzie, nie mówią po francusku. I to jest właśnie ten drugi moment ich nieobecności – tym razem są ścigani jako osoby bez ważnych dokumentów, nielegalnie przebywające we Francji.

#### **W związku z czym pana dziadek trafia na chwilę do francuskiego więzienia.**

– Tak. Sytuacja jest trudna i w końcu dziadek, to jest już 1939 rok, zaraz po wybuchu II wojny światowej wstępuje do armii francuskiej. Zapewne żeby walczyć przeciwko nazistowskiemu Niemcom, ale myślę też, że po to, by zalegalizować swój pobyt we Francji.

Ten fakt powoduje również, że myślę, że on już wtedy nie był komunistą, ponieważ Francja jest jednak państwem burżuazyjnym, kapitalistycznym.

#### **Cofnijmy się jednak jeszcze do czasu przed wojną: proszę powiedzieć, jaki był wtedy klimat, jeśli chodzi o Żydów we Francji.**

– Uchodźcy, w tym Żydzi, nie są mile widziani. Jak przyjeżdżają z Niemiec, z Austrii, z Czechosłowacji...

#### **Zasadniczo ci, jak pan ich nazywa w książce, „ostjuden”.**

– Tak, czyli Żydzi ze Wschodu. Jest jednak podstawowa różnica między ówczesną Francją a wieloma innymi krajami, w szczególności Polską. Otóż w roku 1936, czyli rok przed przyjazdem mojego dziadka do Francji, premierem był w niej człowiek, który nazywał się Léon Blum. To był socjalista i Żyd. Proszę sobie wyobrazić coś takiego w ówczesnej Polsce – dla kogoś takiego jak mój dziadek to musiało być absolutnie niesamowite: „Socjalista i Żyd na czele rządu – co za wspaniały kraj!”.

A potem dziadek starał się znaleźć dla siebie w tym jakieś miejsce. Czyli jak udało mi się ustalić, nadal pracował, wyrabiając produkty ze skóry, teraz już głównie rękawiczki. Starał się żyć, jak mógł, natomiast wydaje mi się, że to było bardzo ciężkie życie.

#### **W książce pisze pan, że różnica między pobytem w Polsce a we Francji dla ludzi takich jak pana dziadek polegała na tym, że w Polsce byli ścigani za to, co robili, czyli działalność komunistyczną, a we Francji za to, kim byli.**

– Tak jest.

#### **Chodzi o to, że był Żydem?**

– Nie, przede wszystkim chodzi o to, że nie miał papierów, czyli był tam nielegalnie.

w latach 30. wszystkie kraje świata zamykają się na emigrantów – jak się bierze takiego emigranta z wyrokiem skazującym jak mój dziadek i takiego, który jest czysty, to łatwo się domyślić, kto – jeśli już – zostanie przyjęty.

#### **A dziadek i babcia doświadczyli w Polsce jakichś prześladowań na tle antysemitycznym czy one były jedynie na tle politycznym?**

– Myślę, że te powody, dla których zdecydowali się na uchodźstwo, były trzy. Po pierwsze, represje polityczne, czyli że było duże prawdopodobieństwo, że zostaną uwięzieni po raz kolejny. Po drugie, antysemityzm, który również w Parczewie coraz bardziej stał się odczuwalny...

#### **A na czym on tam wtedy konkretnie polegał?**

– Na przykład na zorganizowanym przez endecję bojkocie składów żydowskich.

I trzeci powód to po prostu bieda.

Oni mają po dwadzieścia parę lat i zwyczajnie nie widzą dla siebie przyszłości w Polsce.

#### **Pan poglądów politycznych jest jakich?**

– Jestem socjaldemokrata.

#### **I co pan dziś myśli o ludziach, którzy wtedy byli w partii komunistycznej?**

– To jest jeden z najbardziej bolesnych dla mnie elementów wynikających z moich badań.

Część mnie mówi, że dziadkowie byli odważni, chcieli sprawiedliwości, równości, lepszej przyszłości dla ludzkości. Ale jest też druga część mnie, która jest tym przerażona. Bo działacze komunistyczni z tamtych czasów, ich model, do którego dążyli, to jest Związek Radziecki. A Związek Radziecki wtedy to jest Stalin, zbrodnie masowe, ludobójstwo, głód w Ukrainie, a kilka lat później wielkie czystki – to w praktyce była ta wielka przyszłość komunistów.

W 1937 roku Stalin zaprasza polskich komunistów do Moskwy i ich likwiduje. Wówczas mój dziadek jest już we Francji. Ale gdyby był ważniejszym liderem i byłby w Polsce, to zostałby zaproszony i rozstrzelany na Łubiance – to po pierwsze. A po drugie, ja nie wiem, czy gdyby dziadkowie jakimś cudem przeżyli wojnę, to nie wróciliby do Polski, żeby budować

społeczeństwo komunistyczne. Czy nie staliby się wtedy niczym Jakub Berman? Czy nie wprowadziliby i nie realizowaliby tu terroru stalinowskiego?

Być może.

#### **I w związku z tym wyobraża pan sobie, że jakby pan się z nimi spotkał...**

– Myślę, że dziadkowie jednak zostaliby we Francji, bo ich dzieci już tam się urodziły, mój ojciec i ciotka, dostali francuskie imiona. Sądzę więc, że rzuciliby komunizm. No ale tego rzecz jasna nie wiem.

#### **Jasne, ale czy wyobraża pan sobie, że jakby pan ich spotkał, to powiedziałby im coś w stylu: „Kurczę, jak mogliście być tacy durni?”.**

– Powiedziałbym: „Podziwiam waszą odwagę, że jesteście wierni swoim ideałom, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że wasze ideały to terror stalinowski, który doprowadził kilka lat później na przykład do Katynia”.

#### **Wczoraj, myśląc o tej naszej rozmowie, spotkałem się z kolegą, który wie mnóstwo o historii Żydów, nie tylko w Polsce. Poza tym ma dużo empatii. Ale gdy opowiadałem mu o pana dziadku i babci, powiedział, że komunistów przed wojną to by rozstrzeliwał.**

– Nie jestem z natury przemocowy, ale doskonale rozumiem to stanowisko. Bo wyobrażam sobie, gdy stawiam się na miejscu sędziego w Parczewie, w Radzynie Podlaskim czy we Włodawie i mam przed sobą młodych ludzi, komunistów, którzy chcą przyłączyć demokratyczną, dopiero co na nowo powstałą Polskę do stalinowskiej Rosji, że to by mi się zupełnie nie podobało.

#### **To teraz jesteśmy już w Paryżu: to, co mnie uderzyło, gdy czytałem pana książkę, to to, że zarówno pana babcia, jak i dziadek nie byli tam mile widziani.**

– Zgadza się. Tu trzeba pamiętać, że w latach 30. w całej Europie są miliony uchodźców, którzy szukają miejsca, gdzie mogliby osiąść – Ameryka Południowa jest daleko. Stany Zjednoczone zamknęły granice. Nie ma wjazdu do Wielkiej Brytanii. Zostają: Francja, Holandia, Belgia, Skandynawia. A to oznacza, że gdy w 1937 roku dziadek przyjeżdża do Paryża, już wtedy do Francji

#### **A kiedy zaczyna być ważne to, że jest Żydem?**

– To przychodzi wraz z reżimem Vichy.

Reżim Vichy to jest ostatni moment życia moich babci i dziadka. Wtedy zostają zgładzeni właśnie jako Żydzi.

Zatrzymaliśmy się w momencie, kiedy dziadek wstępuje do armii francuskiej.

Walczy w maju i w czerwcu 1940 roku...

#### **Tu trzeba dodać, o czym pisze pan w książce, że antysemityzm w armii francuskiej...**

– Właśnie do tego zmierzam.

W czerwcu 1940 roku francuska armia upada pod naporem nazistowskich Niemiec. Do władzy dochodzi wówczas reżim, który jest jedynym niedemokratycznym reżimem w całej historii Francji XX wieku. Nazywamy go reżimem Vichy, a to dlatego, że jego przedstawicielstwo zainstalowało się w małym mieście Vichy.

To jest reżim, który kolaboruje z wrogiem. To w żaden sposób nie przypomina historii okupowanej Polski. Tu francuscy politycy współpracują z Niemcami w imieniu Francji. I tu też niemal natychmiast pojawia się nazistowskie ustawodawstwo antysemityczne, które na celowniku ma Francuzów Żydów, ale również nielegalnie przebywających obcokrajowców Żydów, takich jak na przykład moi dziadek i babcia. I tu wchodzi mi w trzecią, ostatnią część ich życia...

#### **Chwila, chwila, ale jak to było wcześniej ze stosunkiem do Żydów we Francji? Jaka była ta gleba, na którą padło antysemityczne ustawodawstwo Vichy?**

– Myślę, że przeważającym uczuciem była obojętność w stosunku do Żydów. Natomiast jeśli chodzi o stosunek do obcokrajowców bez papierów, w tym Żydów, to była bardzo duża postawa odrzucenia.

To, co jest pewne to to, że policji reżimu Vichy wszystko się mieszało: komuniści, anarchiści, obcokrajowcy i Żydzi. To wszystko byli ludzie, których chciano się pozbyć. A moi dziadkowie byli obciążeni prawie wszystkimi z tych cech.

Jak patrzemy na statystyki, to jeśli chodzi o francuskich Żydów, tamten czas przeżyło 75 proc. z nich. A na przykład holenderskich zaledwie 25 proc.

Najgorzej w Europie mieli Żydzi polscy, białoruscy, ukraińscy, słowem: w tych krajach, które były wprost pod okupacją nazistowskich Niemiec.

#### **W tym ci, którzy z tych krajów uciekli do Francji...**

– No tak, tu rzeczywiście te statystyki nie są dobre, dlatego że oni mieli wiele obciążających ich cech. Po pierwsze, nie mówili po francusku, po drugie, byli biedni. Wydaje mi się, że ich po prostu było widać na ulicy.

#### **A we Francji tymi osobami, które wydawały Żydów Niemcom, poza policjantami byli zwykli Francuzi czy jak to było?**

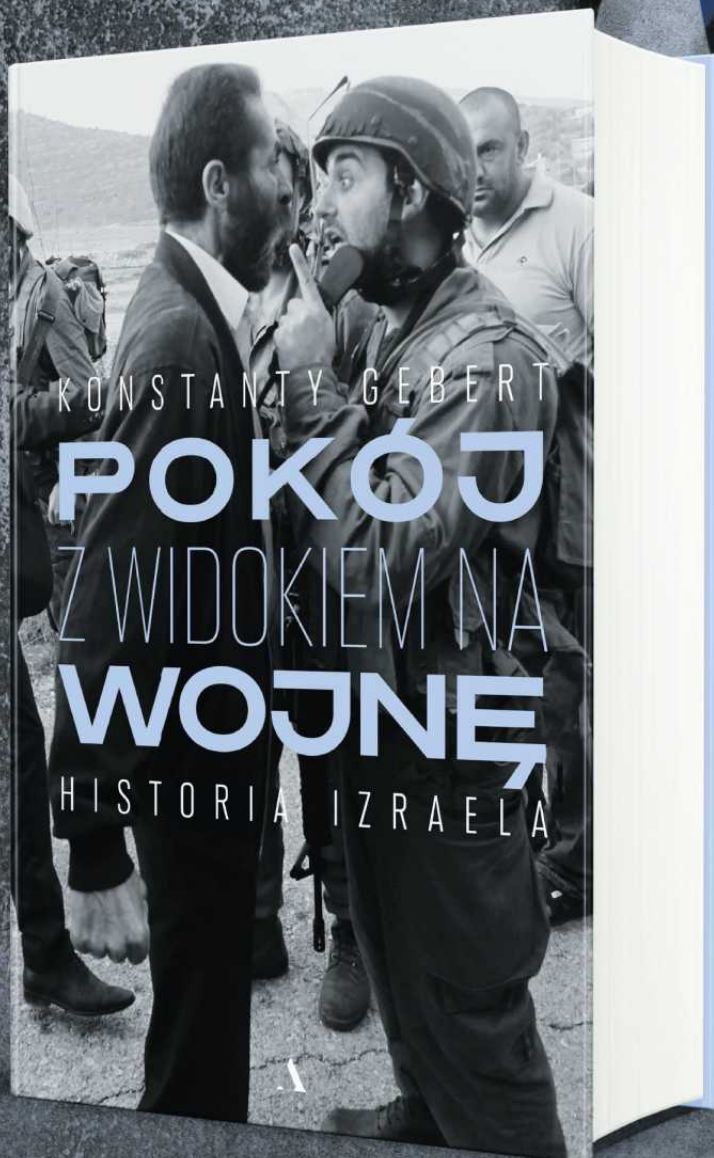
– To byli mniej więcej wszyscy.



Wydawnictwo  
Agora

# WSZYSTKIE WOJNY IZRAELA

Nowa książka  
Konstantego Geberta



„Barwna opowieść o Izraelu, bez lukru i bez prześlizgiwania się nad najtrudniejszymi dylematami. Fascynująca lektura.

**MACIEJ KOZŁOWSKI,**  
Dyplomata, były ambasador RP w Tel Awiwie

Niesamowicie prowokująca  
i zmusza do myślenia. Prawdziwy  
majstersztyk.

**DR LAURENCE WEINBAUM,**  
Redaktor Naczelny,  
„The Israel Journal of Foreign Affairs”, Jerozolima

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP.PL  
WOLISZ EBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

I antysemicka dozorczyńni. I właśnie policjant, który chciał mieć lepsze statystyki, pokazać swoje zaangażowanie. I piekarz, który zazdrościł klienteli swojemu rywalowi. Tu rzecz jasna mówimy o latach 1940-41.

Czterdzieści lat wcześniej we Francji wybucha afera Dreyfusa. I to była eksplozja antysemityzmu we Francji. Tak więc ci ludzie, którzy wtedy...

**Proszę króciutko przypomnieć, na czym polegała afera Dreyfusa.**

– Alfred Dreyfus, francuski wojskowy, Żyd, zostaje oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Jest niewinny, ale szybko francuska armia fabrykuje dokumenty potwierdzające jego działania szpiegowskie – jest to spiszek wewnątrz francuskiej armii przeciwko Żydowi. I od tego momentu Francja dzieli się na dwie części: tych, którzy bronią Dreyfusa, uważają, że jest niewinny, i tych, którzy sądzą, że nieważne, czy winny, czy nie – nie chcemy Żydów we francuskiej armii, w ogóle we Francji.

Wśród tych, którzy byli przeciwko Dreyfusowi, były setki tysięcy antysemitów wykrzykujących hasła: „Trzeba zabić wszystkich Żydów!”. „Trzeba przegnać wszystkich Żydów z Francji!”. No i 40 lat później następuje reżim Vichy. A ci ludzie wciąż żyją.

**I jak pan dziś patrzy na rozliczanie tego czasu w Polsce oraz we Francji, to co może pan powiedzieć o Francji?**

– Po pierwsze, w Polsce niemieccy naziści zamordowali 3 miliony Żydów, a we Francji około 80 tysięcy...

**Francuskich Żydów?**

– Żydów przebywających we Francji. Bo w te 80 tysięcy są też już wliczeni moi wywiezieni do Auschwitzu dziadkowie.

Po prostu ośrodkiem kultury żydowskiej w Europie była Polska. Jeśli więc chodzi o symbolikę, to tym miejscem, gdzie byli Żydzi, był Parczew, a nie Paryż.

Mordowanie społeczeństwa żydowskiego w Polsce, na Białorusi, w Ukrainie czy w Rosji Zachodniej to było jakby zabijanie serca, istoty narodu żydowskiego.

To, co zrobiły nazistowskie Niemcy, to była prawdziwa wojna przeciwko Żydom. To była wielka, zaplanowana, militarna operacja. Od Bretanii do Moskwy, od Sztokholmu do Aten. Ale główny cel to była Polska.

**Jasne, ale jeśli chodzi o rozliczenie: co robi się we Francji? I czy są jakieś rzeczy tu spychane, pomijane, zamiatane?**

– Prześladowania Żydów francuskich we Francji mogą porównać do tego, co działo się z Żydami niemieckimi w Niemczech. Czyli to jest takie jakby continuum: zaczyna się od spisu powszechnego, trzeba się zadeklarować jako Żyd. Potem jest wykluczenie z wielu zawodów. Następnie nie mają prawa zawierać związków małżeńskich z nie-Żydami. Później pozbawia się ich możliwości handlu, wygania się ich z ich sklepów. Potem się ich zatrzymuje, deportuje i następnie morduje. We Francji to się odbywa w ciągu dwóch, trzech lat, cały ten proces.

Moi dziadkowie uniknęli największej obławy, jaka miała miejsce we Francji – mówimy tu o 1942 roku – udało im się umknąć tylko dlatego, że policjanci im na to pozwolili. Ale zostali zatrzymani sześć miesięcy później. Oboje internowani w obozie koncentracyjnym niedaleko Paryża. Całe szczęście, że ich dzieci, czyli mój ojciec i ciotka, spały wtedy u sąsiada. I to też jest niesamowita historia, bo ten człowiek w naszej opowieści rodzinnej funkcjonował jako Polak, a skoro tak, to znaczy, że to nie był Żyd. Pewnie więc był to rzeczywiście jakiś Polak, katolik...

**...który przyjaźnił się z pana dziadkami i w efekcie uratował życie dzieciom Żydów z Polski.**

– Tak, ale ich rodzice, czyli moi dziadkowie, zostali przewiezieni do obozu, a następnie wywiezieni do Auschwitzu. A więc dodatkowo tragiczny wymiar ich historii jest taki, że zginęli we własnym kraju.

**No dobrze, ale czy istnieje dziś jakaś rozmowa we Francji o odpowiedzialności za to, co się stało z Żydami w waszym kraju?** – Oczywiście, jest wielka debata.

Przez prawie 50 lat rządy francuskie, prezydenci mówili: „Francja nie jest odpowiedzialna za zagładę Żydów”. „To nie była Francja, to był reżim Vichy”. Dopiero w 1995 roku, czyli 50 lat po wojnie, prezydent Francji Jacques Chirac oficjalnie uznał odpowiedzialność Francji w deportacji i mordzie na Żydach.

**Co się stało, że akurat wtedy to zrobił?**

– Myślę, że zmieniła się mentalność.

Praca historyków pokazała, że w sposób oczywisty ci, którzy zatrzymali moich dziadków, to byli francuscy policjanci.

**A co wcześniej nie pozwalało Francuzom tego przyjąć?**

– Myślę, że to było trochę tak jak w Polsce, narracja typu: „Wszyscy byli w ruchu oporu”. „Wszyscy byli ofiarami”. „Żli byli tylko Niemcy”...

**Ewentualnie, jak rozumiem, Vichy?**

– Ewentualnie, ale to tylko oni, te kilka osób. A tak poza tym to właśnie: „Wszyscy Francuzi byli w ruchu oporu”. „Wszyscy Francuzi byli ofiarami”. Taki sam mit jak w Polsce, który obecny polski rząd nadal chciałby kontynuować i promować.

We Francji najwyższe władze przyznały, że Francja była współnikiem nazistów, i to zamknęło debatę.

**I co się w związku z tym zmieniło?**

– Rząd zaczął zachęcać historyków do badań w tym temacie. A przede wszystkim to, że Francja współdziałała z nazistowskimi Niemcami, weszło do szkolnych programów nauczania.

**I macie też jakąś taką swoją symboliczną opowieść, która jest przykładem tej francuskiej kolaboracji przy wyłapywaniu, wywożeniu Żydów do obozów zagłady? Coś takiego, co odpowiada naszemu Jedwabnemu?**

– Aż tak to nie, bo tu jest jednak spora różnica – nie było we Francji takiej masakry, jaka miała miejsce w Jedwabnem. We Francji były denuncjacje. Byli policjanci zatrzymujący Żydów. Byli kolejarze, którzy pakowali Żydów do wagonów, żeby ich wywieźć do obozów zagłady.

Jak moi dziadkowie zostali załadowani do wagonów deportujących ich dalej, to na tych wagonach było napisane: Narodowe Koleje Francuskie. Te same, które i dziś istnieją. I to jest właśnie symbol tej kolaboracji.

Poza tym obóz w Drancy...

**Czyli?**

– To był obóz koncentracyjny, a więc nie zagłady. On był blisko Paryża, zresztą niedaleko uczelni, w której dziś pracuję. Przez niego przeszli prawie wszyscy Żydzi wywiezieni z Francji do obozów zagłady.

Symbolem francuskiego udziału w Zagładzie jest dworzec niedaleko Drancy, gdzie dziesiątki tysięcy francuskich Żydów wsiadały do wagonów deportacyjnych.

Simone Weil, bardzo ważna kobieta, z mnóstwa powodów, we Francji – wszyscy wiedzą, że była deportowana do Auschwitzu w wieku 16 lat – też jest takim symbolem prześladowania francuskich Żydów w czasie II wojny światowej.

**Co pan by chciał, żeby sprawiła ta książka?**

– Jestem bardzo zadowolony z samego faktu, że powstała, a już to, że została przetłumaczona na polski, to po prostu super. Myślę, że moi dziadkowie również byłiby z tego powodu dumni.

Jak powiedziałem: ja tu nie wracam po to, żeby odzyskać dom w Parczewie. Ja tu wracam z naszą historią. I jakby była tu czytana, jak część historii Polski, to byłoby to dla mnie powodem do wielkiego szczęścia. Bo wtedy niejako Jabłonkowie naprawdę wróciliby do swojego kraju. ●



Po leczeniu w szpitalu psychiatrycznym

# Życie W UKRYCIU

**Spodziewałem się ostatniego kręgu piekieł, otumanionych lekami ludzi w kaftanach i wrzasków pacjentów poddawanych elektrowstrząsom. A stanąłem tu na nogi.**

**T** – Tam znajdziesz przyjaciół. Tam każdy konflikt jest omawiany i rozwiązywany. Nie martwisz się o pracę, o posiłek. Życie masz poukładane jak na koloniach. To był dla mnie powrót do młodości. Takiej wymarzonej, jakiej nigdy nie miałem. Na koniec urządziliśmy bal maskowy, bo do domu wychodziły cztery osoby z mojej paczki, w tym ja. To były takie zabawy ludzi, którzy wiedzą, że zaraz muszą się zmierzyć z rzeczywistością – 50-letni Eryk wspomina swój pierwszy pobyt w szpitalu psychiatrycznym.

Sześć miesięcy wcześniej zgłosił się tam na pobyt planowy z powodu zaburzeń lękowych i depresyjnych. Potem zdiagnozowano u niego także anoreksję.

– Spodziewałem się ostatniego kręgu piekieł, otumanionych lekami ludzi w kaftanach i wrzasków pacjentów poddawanych elektrowstrząsom. Taką wizję stworzyłem sobie podczas terapii grupowej. Miała wiele cech sekty. To była ostra jazda – praca z energią, elementy ezoteryczne i wchodzenie w trans. Straszono, że jeśli z terapii zrezygnuję, stoczę się i trafię do psychiatryka. A ja dopiero w szpitalu stanąłem na nogi.

Czy czułem się gorszy z powodu tego, że tam trafiłem? A skąd! Zacząłem lepiej siebie postrzegać, bo po raz pierwszy trafiłem na ludzi, którzy mnie zaakceptowali. Wychodziłem uskrzydłony. Szedłem do znajomych, którzy pozwolili mi mieszkać u siebie przez wakacje, i myślałem: „Tyle rzeczy mogę jeszcze w życiu zrobić. Mam nowy start”. Ale świat na zewnątrz był tak samo nieprzyjazny jak wcześniej.

## KLUB PSYCHUSZKOWCÓW

Od znajomych Eryk przeprowadził się do matki i brata.

– Brat nie był zachwycony. Już wcześniej musiał ukrywać mnie przed siostrą, która była właścicielką mieszkania. Mówiła, że nie ma w nim dla mnie miejsca. Pewnie to był trochę rezultat tej sekciarskiej psychoterapii, tego, że przez nią odciąłem się od rodziny. Terapeutka twierdziła, że każda nasza dysfunkcja jest wynikiem jakiejś traumy. Żeby ją sobie przypomnieć, byliśmy poddawani czemuś w rodzaju hipnozy. Ludzie zapłakani opowiadali o strasznych rodzinnych scenach, które wydobyli z pamięci.

Eryk bez hipnozy wiedział, że w jego domu dobrze się nie działo.

EWA  
PĄGOWSKA



FOT. GETTY IMAGES



– Panował ostry dryl. Ojciec był wojskowym, brutalnym, nieczułym sukinsynem. Niewiele miał zalet poza poczuciem honoru. Matka była bierna i wciąż piła. Na tej sekcarskiej terapii oczekiwano od nas konfrontacji z bliskimi, którzy nas skrzywdzili. Mieliśmy im wszystko wykrzyzczyć, a nawet zerwać z nimi kontakt, więc to zrobiłem. Ojciec wtedy już nie żył, ale po reszcie rodziny pojechałem. Dzisiaj się tego wstydzę.

Wyprowadziłem się. Miałem 28 lat, więc w sumie najwyższy czas. Sprzedałem swoje rzeczy i wynajmłem pokój w Ożarowie pod Warszawą. Żyłem w nędzy, ale do domu nie chciałem wracać. Próbowałem sprzedawać swoje rysunki, pracowałem na stacjach benzynowych i na zmywaku. To trwało kilka lat. Doświadczylem też bezdomności. Błąkałem się po Warszawie. Ludzie przeganiali mnie z klatek schodowych. Po ataku paniki, z którym trafiłem na SOR, zamieszkałem u brata. Wracałem tylko na noc, bo bałem się, że siostra wpadnie. Matka się wygadała, ale przez alkohol miała zmiany w mózgu, więc nikt jej nie uwierzył – opowiada Eryk.

Życie w ukryciu pogarszało stan Eryka. Wzmagalo lęk. Tak było przed szpitalem i po nim. Tyle że po szpitalu Eryk wreszcie czuł, że ma na kogo liczyć.

– Ludzie, których tam poznałem, byli moim wsparciem. Po wyjściu przez rok co dwa tygodnie spotykaliśmy się w 6-7 osób. Taki nieformalny klub psychuszkowców. Razem czuliśmy się kompletni, mniej samotni. Troszczyliśmy się o siebie – wspomina. Mówi też, że znajomości ze szpitala są bardziej intensywne, głębsze.

– Ze starymi znajomymi miałem sporadyczny kontakt. Zdystansowali się ode mnie. Nie mam do nich żalu. Poza znajomą, która gdy spotkała mnie w sklepie, ze strachu zasłoniła sobą swoje dziecko.

## RODZINA TO MOJA BAZA

52-letnia Magdalena, która choruje na ChAD (choroba afektywna dwubiegunowa), w szpitalu psychiatrycznym była raz, 5 lat temu. Po wyjściu też nie miała ochoty na kontakt z dawnymi znajomymi.

– Nie miałam ich wielu. Dopiero po szpitalu moje grono znajomych się powiększyło i mam wokół wspaniałych, wrażliwych ludzi. Teraz, gdy moja mama poważnie choruje, przekonuję się, jak bardzo mogę na nich liczyć. Natomiast przed szpitalem miałam o wiele płytsze relacje. To były osoby zainteresowane głównie sobą. Niektóre wypowiadały się z lekceważeniem o ludziach chorujących psychicznie. Wiedziałam, że mnie też źle ocenią. Mogłam liczyć na przyjaciółkę, którą znałam od liceum, i na rodziców. Dom rodzinny to moja baza. Z niego czerpię siłę. Z mamą zawsze byłam bardzo związana. Z tatą trochę mniej, ale zbliżył nas mój pobyt w szpitalu. Kiedy się dowiedział, że tam trafiłam, wsiadł w samochód i przyjechał. Potem co kilka dni pokonywał 400 km, by mnie odwiedzić. Nocował w hotelu i wracał do domu. Po trzech tygodniach poczułam się lepiej i tata przekonał ordynatora, żeby pozwolił przenieść mnie do szpitala oddalonego od rodziców o 50 km. Poprosiłam go o to. Tam odwiedzał mnie codziennie – opowiada.

Magdalena żałuje, że naciskała na lekarzy, by jak najszybciej wypisali ją ze szpitala. Dziś uważa, że wyszła za wcześnie. Rodzice zabrali ją do siebie.

– Mój stan nie pozwalał na to, żebym mieszkała sama. Czułam ogromny lęk. Trudno mi było wykonywać podstawowe czynności. Nie miałam na nic siły poza robieniem 20 tysięcy kroków dziennie – taki czułam przymus. To się nazywa akatyzyja. Niedawno dowiedziałam się, że to prawdopodobnie skutek uboczny leków. Kiedy była podła pogoda, tata wychodził ze mną, żeby było mi raźniej. Lał deszcz, wiatr wykręcał parasol, a my szliśmy pod ramię – wspomina.

Wyruszała na spacer po śniadaniu. Wracała na obiad. Spała dwie godziny. Nie pamięta, jak mijal jej czas do kolacji. Niczego nie oglądała ani nie czytała. Wieczorem lęk się zmniejszał.

– Organizm się uspokajał, bo wiedział, że zaraz zapadnę w sen, zrelaksuję się, regeneruję. Noc była ratunkiem. Brałam leki i zasypiałam. I tak codziennie. Stały rytm dnia pomaga w zdrowieniu – tłumaczy.

## JAK W „PRZYJACIOŁACH”

Eryk na początku też starał się utrzymać stały porządek dnia.

– A przynajmniej wstawać o tej samej porze. Potem to się rozmyło. Brakowało kogoś, kto by mnie kontrolował – mówi. Pod tym względem było mu łatwiej po drugim pobycie w szpitalu. Tym razem zamieszkał u Moniki, którą tam poznał. Wynajmowała mieszkanie ze swoją partnerką Elą. Starali się przenieść szpitalny rytm na grunt domowy. Pilnowali siebie nawzajem, żeby brać leki, dbać o higienę, wychodzić na zewnątrz.

– Dziewczyny pozwoliły mi mieszkać u siebie, aż stanę na nogi. Było fantastycznie. Jak w serialu „Przyjaciele”. Oglądaliśmy filmy, graliśmy na PlayStation. Mogłem zająć się szukaniem pracy i chodzeniem na kurs graficzny. Wreszcie miałem poczucie bezpieczeństwa. Niestety, dziewczyny się rozstały, jedna się wyprowadziła, z drugą się pokłóciłem. Monika powiedziała, że mam tydzień na znalezienie sobie pokoju. Może chodziło jej także o to, że spodobała mi się Ela? – zastanawia się Eryk.

## NIE UMIAŁEM ZASNAĆ PRZY DZIEWCZYNI

Eryk się obawia, że do końca życia będzie sam. Trudno mu się z tym pogodzić. Nie sądzi, żeby pobytu w szpitalu psychiatrycznym były tego powodem. Raczej nieśmiałość i zaburzenia lękowe. Mówi, że boi się ludzi. Jednak kiedy spotkamy się w pizzerii, nasza rozmowa toczy się całkiem swobodnie.

– Ja się świetnie maskuję. No i biorę leki. Chociaż to nie zawsze wystarcza. Czasem wychodzę i po przejściu kilkuset metrów ulicą wracam, bo nie mogę znieść ludzi wokół. Albo czuję, że zaraz coś mi się stanie – zemdleję, dostanę wylewu – tłumaczy.

Już w podstawówce miał ataki paniki, ale wtedy nikt się tym nie zajmował.

– Myślałem, że po prostu jestem porąbany. Inni też tak o mnie myśleli. Ten mój lęk uwidaczniał się na twarzy. A i tak jestem nieatrakcyjny fizycznie. Wyglądałem jak przestraszony wróbel. Kiedy byłem nastolatkiem, czasem słyshałem o sobie na ulicy: „Zobacz, jaki ryj”. Dziewczynę miałem dopiero w wieku 31 lat. Strasznie fajną, ale ja byłem kompletnie niedojrzały. Na początku nie umiałem nawet przy niej zasnąć.

Potem nie miał już czasu nikogo szukać. Był zajęty walką o byt.

– A to wcale nie jest tak, jak mówią: „Jak przestaniesz szukać, to ktoś się znajdzie”. Jak przestaniesz szukać, to najwyżej raz na kilka lat zapuka do ciebie ankietarka. Od pewnego czasu próbuję kogoś poznać przez portale randkowe. Przygrybnęło mnie to, że nawet w szpitalu psychiatrycznym nikogo nie znalazłem. Bardzo na to liczyłem. Wielu ludzi wychodzi stamtąd sparowanych.

## ŚLUB ZA ZGODĄ BISKUPA

Potwierdzają to 50-letnia Teresa i 56-letni Jan z małego miasta na północnym Mazowszu, z którymi spotykam się w ośrodku pomocy społecznej. Zgodzili się na rozmowę tylko w obecności psycholożki prowadzącej grupę wsparcia, na którą chodzą.

Mówi Teresa. Jan – gdy ona go zachęci. – Pierwszy raz zobaczyłam Janka, jak szedł korytarzem w szpitalu psychiatrycznym. To było w 2009 roku. Pomyślałam: „Ten chłopak mógłby być mój”. No ale przeszedł obojętnie. Spotkaliśmy się trzy lata później, w tym samym szpitalu.

– Ale ja wtedy interesowałam się inną dziewczyną. Tyle że nie byłem w jej typie. Powiedziała: „Jak Teresa cię chce, to od razu ją bierz” – wspomina Jan.



## Byłem tak strasznie samotny, że cieszyłem się nawet na wizytę u dentystki

Dziś cieszy się, że rady posłuchał, chociaż tuż po wyjściu ze szpitala zerwał kontakt z Teresą. Mieszkał z mamą, siostrą, szwagrem i ich dziećmi na wsi oddalonej o 25 km od domu Teresy. Mama go przekonywała: „Ona chora, po co będziesz tam jeździł?”. Rok później mama zmarła, Jan odnowił kontakt z Teresą. Cztery lata temu się pobrali.

– Ale najpierw musiałam go porwać – śmieje się Teresa. – Tego dnia, gdy wrócił ze szpitala do domu, siostra miała go zawieźć samochodem do urzędu stanu cywilnego załatwić formalności. Byliśmy tam umówieni. Ale siostry w domu nie zastał, więc wzięłam taksówkę i po niego przyjechałam. Wsiadł, jak stał. Z nierozpakowaną torbą ze szpitala. Zamieszkał u mnie.

Teresa kupiła mieszkanie ze swoich oszczędności i tego, co dołożył jej brat.

– Na małżeństwo potrzebowaliśmy zgody biskupa. Dostaliśmy ją, ale kiedy daliśmy na zapowiedzi do parafii Janka, jego siostra zgłosiła sprzeciw. Tłumaczyła proboszczowi: „On chory, ona chora...”. Sprawa wróciła do biskupa. Po dwóch miesiącach przyszła odpowiedź. Biskup orzekł, że nasz stan się nie pogorszył i nadal zgadza się na ślub. Sami go zorganizowaliśmy – opowiada Teresa.

Urząd do siostry Jana jej pozostał. Zauważa, że osobom z zaburzeniami psychicznymi odmawia się wielu praw. Jan nigdy z siostrą o jej sprzeciwie nie rozmawiał. Podejrzewa, że nie chciała, by się wyprowadził i przestał jej pomagać na roli. Ale Jan gospodarstwem żyje. – Najpierw gospodarzyłem z mamą. Ale dostałem rentę i w papierach napisano, że jestem niezdolny do pracy. Jak przyszło pismo, to siostra aż podskoczyła z radości – mama przekazała jej gospodarstwo. Ostatnio pojechałem tam i swoim ciągnikiem, który trzymam u siostry, potalerzowałem, poorałem i zasiałem – mówi.

Teresa często powtarza: „Mam dobrego męża”. Gdy Jan przebywa w szpitalu, ona codziennie go odwiedza. On jest częściej hospitalizowany. Ostatnio kilka miesięcy temu. Teresa – w 2013 roku, a pierwszy raz w 2003 roku, po śmierci jej mamy.

– Po pracy kładłam się na łóżku i leżałam przykryta kocem, aż zrobiło się szaro. Do pracy chodziłam na 10, więc rano zdążyłam ugotować obiad na 2-3 dni. Ojciec z bratem, z którymi mieszkałam, doszli do wniosku, że moje zachowanie odbiega od normy. W szpitalu rozpoznano schizofrenię paranoidalną – wspomina.

Kiedy ojciec zmarł, Teresa wyprowadziła się do miasta i zamieszkała w pojedynkę. Tu choroba nie była przeszkodą. Leki brała regularnie. Nigdy jej do głowy nie przyszło, żeby samodzielnie je odstawić.

– Na początku bałam się, że coś mi się stanie. W szpitalu jest się cały czas pod opieką. Musiałam się nauczyć prosić o pomoc. Jak wieczorem czułam niepokój, szłam do sąsiadów i prosiłam, żeby rano zapukali i sprawdzili, czy ze mną wszystko w porządku. Czy jakichś głupot nie robię – wspomina.

Jan zapewnia, że Teresa sama sobie ze wszystkim świetnie radzi. Ona podkreśla, że choroba psychiczna nie oznacza niezaradności. Kiedyś wstydziła się swojej choroby. Dzisiaj zdarza jej się specjalnie mówić, także nieznanym, o pobycie w szpitalu.

– Jestem ciekawa reakcji. Zwykle jest dobra. Ostatnio spotkałam pod kościołem panią, z którą czasem rozmawiam po mszy. Zapytała, dlaczego nie przyszedł z mężem. Powiedziałam, że jest w szpitalu psychia-

trycznym i ja też tam byłam. Stwierdziła: „Nie powiedziałabym, że z wami jest coś nie tak”. To nic w naszej znajomości nie zmieniło.

Jan coraz częściej spotyka w szpitalu psychiatrycznym kogoś ze swoich okolic. Teresa natknęła się na oddziale na byłą uczennicę. Prosiła o dyskrecję.

## WSTYD KRĘPUJE RUCHY

43-letni Tomasz na schizofrenię zachorował w klasie maturalnej. Do szpitala psychiatrycznego trafił po raz pierwszy, gdy miał 22 lata. Do czasu, kiedy w wieku 30 lat przeprowadził się do Lublina, był pod opieką rodziców. Mieszkał w małym mieście.

– Rodzice zaspokajali moje potrzeby bytowe, ale bez wsparcia emocjonalnego. Alkoholu w domu nie było, ale kłótnie tak. Niby byłem w stanie stabilny, ale wycofały cierpieć w ciszy. Czasem miałem jakieś urojenia, ale choroby nie było po mnie widać. Kiedy raz bardzo źle się czułem i poprosiłem mamę, żeby mnie wysłuchała, to usiadła i nie patrząc na mnie, przyznała: „Ja to chyba nie umiem”.

Tomasz tłumaczy, że choroba psychiczna to podwójne tępienie. Raz, że człowiek cierpi z powodu jej objawów, a dwa – z powodu pogrzebanych marzeń.

– Mój świat się walił! W liceum miałem stypendium za wyniki w nauce. Chciałem studiować, podjąć pracę, uniezależnić się, założyć rodzinę. Chciałem być naukowcem. Myślałem o fizyce teoretycznej, ale zdawałem na medycynę. Wydawała mi się bardziej praktycznym wyborem. Zabrakło mi kilku punktów. Potem doszedłem do wniosku, że i tak nie dałbym rady. To zbyt duży wysiłek psychiczny i intelektualny. Po wyjściu ze szpitala przez chwilę ludziłem się, że może uda mi się zrealizować marzenia. Mama mówiła: „Nie myśl już o przyszłości. Nie zamartwiaj się. Żyj dniem dzisiejszym. Zajmij czymś ręce”. Pewnie chciała mnie pocieszyć, ale tylko podcinała skrzydła. Czasem odnosiła się do mnie w sposób poniżający. Zupełnie nie rozumiała mojej choroby – stwierdza.

Jedyną specjalistyczną pomocą, z jakiej z powodu schizofrenii korzystał, były comiesięczne wizyty u psychiatry. Psychoterapeuty w jego miasteczku nie było.

– Był natomiast Środowiskowy Dom Samopomocy (ŚDS). Wprawdzie zajęcia prowadził głównie dla osób z niepełnosprawnością intelektualną lub ruchową, ale i tak chciałem tam chodzić. Byłem tak strasznie samotny, że cieszyłem się nawet na wizytę u dentystki. Żeby chodzić do ŚDS-u, musiałem przynieść dokumenty dotyczące mojej choroby. Mama się sprzeciwiła: „Ktoś z pracowników się wygada i będę się wstydzić na mieście”, ale w końcu udało się ją przekonać – wspomina.

Wstyd jednak nie opuszczał rodziny Tomka. Krępował ruchy.

– Rodzice pochodzili ze wsi, a tam choroba psychiczna to stygmat. Nie mam pojęcia, co mama opowiadała ludziom na mój temat. To, co do mnie docierało, było niespójne. Kiedy chciałem z rodzicami pojechać do krewnych, mówiła, żebym został w domu. Chyba bała się, że nasze wersje nie będą się zgadzały. Niektórym na pewno mówiła, że studiuje. Kiedyś do szpitala zabrała mnie z domu karetka. Przyjechała też policja. Zadzwoeniłem po nią, bo się zorientowałem, że rodzice chcą mnie zamknąć w domu. Byłem wtedy w bar-



dzo złym stanie. Sąsiedzi musieli to widzieć, ale nigdy o tym nie wspomnieli. W ogóle nikt mnie nie zapytał, czy choruję.

Tomasz przyznaje, że w rodzinnym miasteczku bał się pytań o to, co robi w życiu. Ze spotkanymi znajomymi, którzy przyjeżdżali do domu, jak mieli wolne na studiach, rozmowa toczyła się według schematu:

- Studiujesz?
- No nie, obecnie nie studiuję.
- A pracujesz?
- W tym momencie nie pracuję”.
- Zwykle wystarczało. Raz tylko kolega

zbił mnie z tropu pytaniem, skąd mam ubezpieczenie zdrowotne – wspomina Tomek.

Po przeprowadzce do Lublina w 2011 roku przyjął zasadę, że o swojej chorobie mówi ludziom, do których ma zaufanie, a nowo poznanim tylko wtedy, jeśli widzi, że jest szansa na głębszą rozmowę, oraz innym chorującym – żeby dać im nadzieję. Najchętniej opowiada o procesie zdrowienia.

Do początku chorowania nie lubi wracać. Ania – narzeczona, z którą Tomek przyszedł na nasze spotkanie – tłumaczy, że po latach trudno do tego etapu wracać, bo z nim wiąże się ogromne poczucie straty życia. Wie, o czym mówi, bo sama od 14. roku życia choruje na schizofrenię.

## NAUKA PRANIA

W Lublinie Tomasz zamieszkał w mieszkaniu chronionym. Ono, jak czytam w ustawie o pomocy społecznej, „jest formą pomocy społecznej przygotowującą pod opieką specjalistów osoby tam przebywające do prowadzenia samodzielnego życia lub wspomagające te osoby w codziennym funkcjonowaniu”. O wolnym miejscu poinformowała go lekarka w szpitalu psychiatrycznym. Tomasz się ucieszył, bo już wcześniej chciał do takiego mieszkania trafić.

To było zwykłe trzypokojowe lokum w bloku, do którego raz w tygodniu przychodziła terapeutka zajęciowa pomóc pięciu mężczyznom ogarnąć życie. Uczyla ich wykonywać obowiązki domowe. Tłumaczyła, jak zarządzać budżetem.

– Miałem rentę i zasiłek pielęgnacyjny – w sumie niecałe 800 zł – i z tego chyba 300 zł płaciłem za to mieszkanie. Miałem jeszcze 2 tys. zł oszczędności. Dość szybko topniały, chociaż nie należę do osób trwoniących pieniądze – mówi.

Od razu po przeprowadzce Tomasz zapisał się do ŚDS-u. W Lublinie był taki, który miał zajęcia dla osób z zaburzeniami psychicznymi. Tam dostawał darmowe obiady.

– Otrzymywałem też paczki żywnościowe z Banku Żywności lub Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Co kilka tygodni jeździłem do rodziców i wracałem z walówką. Dawali mi ser, wędliny, jajka, dżemy. Szukałem promocji, jeździłem na targ po tańszą żywność. Na markowe ubrania, np. jakieś H&M-y, mogłem pozwolić sobie dopiero kilka lat później – wspomina.

Do oszczędzania był przyzwyczajony. – Zawsze byłem minimalistą. Na pewno trudniej mi się żyło, gdy mieszkałem sam, ale traktowałem to jako cenę niezależności.

Żałował tylko, że nie stać go na wyjazd za granicę.

– Po roku przenieśliśmy się do innego mieszkania chronionego – takiego, w którym czynsz był uzależniony od dochodów, więc na tamtym etapie ono było dla mnie tańsze

od poprzedniego. Zostałem w nim prawie siedem lat. Najciężej było, kiedy skończyły się oszczędności. Ale na studiach dostałem stypendium socjalne, stypendium dla osoby z niepełnosprawnością i „stypendium na stancję”, więc już było lepiej.

Po kilku miesiącach czekania dostał się na psychoterapię w ramach NFZ. Chodzi do dziś. Dzięki terapeutom zajęciowym nauczył się dbać o porządek i stałą strukturę dnia, prac i gotować.

– Ja już w sobie nie wierzyłem, ale mimo to podejmowałem działania, żeby wyzdrowieć – mówi. – Może tylko niepotrzebnie traktowałem specjalistów jak wyrocznię. Byłem zbyt posłuszny. Ludzi, którzy trafiają do ŚDS-ów czy mieszkań chronionych, często prowadzi się za rękę. Do pewnego momentu to jest dobre, ale potem oni powinni powoli się stawać niezależni. Byłem nieprzyjemnie zaskoczony, kiedy asystentka mieszkań chronionych przyniosła mi mój plan dochodzenia do zdrowia. Tam było napisane m.in., do kiedy mam podjąć pracę. Rozumiem, że oni muszą taki dokument przedstawić komuś wyżej, ale nie podobało mi się, że go wcześniej ze mną nie skonsultowali.

## TERAPIĄ SĄ ROZMOWY

Eryk po pierwszym wyjściu ze szpitala psychiatrycznego był przekonany, że poradzi sobie bez leków i psychoterapii.

– Bałem się skutków ubocznych leków, ale już biorę je regularnie – zapewnia. – Najbardziej żałuję, że nie miałem porządnej terapii. Gdybym chodził nawet co dwa-trzy tygodnie, to ktoś weryfikowałby, co robię, czy nie skręcam w złą stronę.

Kiedy już zdecydował się na terapię, okazało się, że na tę finansowaną przez NFZ trzeba długo czekać.

– Potem chodziłem na nią przez dwa miesiące. Nie pamiętam, dlaczego zrezygnowałem.

Teresie i Janowi wystarczają wizyty u psychiatry i comiesięczne spotkania grupy wsparcia. Zwłaszcza Jan je lubi, a Teresa przychodzi, bo chce towarzyszyć mężowi. Mówi, że jej terapią są rozmowy z panią Zosią – podopieczną z domu opieki, w którym Teresa jest wolontariuszką.

– Ona wysłucha mnie, czasem coś powie o sobie. Ja nie dociskam. I chyba obie jesteśmy z tych rozmów zadowolone.

## TAJEMNICA

Każdy z moich rozmówców ukrywał chorobę, kiedy szukał pracy. Tylko Jan nie musiał, bo całe życie zajmował się rodzinnym gospodarstwem.

– Głowa może była chora, ale fizycznie zawsze byłem zdrowy – mówi.

Pozostali są pewni, że gdyby podczas rozmowy kwalifikacyjnej powiedzieli o swoim zaburzeniu, przekreśliliby szanse na zatrudnienie. Słyszeli o takich przypadkach od znajomych. Sądzą, że nawet w zakładach pracy chronionej są na gorszej pozycji, bo pracodawcy wołają pracowników, którym przyznano niepełnosprawność z innych powodów. Kiedy więc znajdują pracę, chronią swoją tajemnicę. Dopiero gdy z powodu stanu psychicznego idą na zwolnienie, ich choroba wychodzi na jaw.

– Ale nasz problem z pracą nie jest spowodowany tylko złym stosunkiem do osób

chorych psychicznie. On się powoli zmienia na lepsze. Chodzi też o to, że chory często nie wykona tyle co zdrowy. Wymaga więc innego podejścia pracodawcy – stwierdza Teresa.

Tomasz ma za sobą rok nauki w studium informatycznym i trzy lata studiów filozoficznych, ale z powodu choroby nie udało mu się żadnego z tych kierunków skończyć. W poszukiwaniach pracy nawet nie próbował tych doświadczeń edukacyjnych wykorzystywać. Od razu zaczął od sprawdzenia, gdzie najczęściej pracują lokatorzy mieszkań chronionych, i poszedł w ich ślady – zaczął sprzątać klatki schodowe. Potem był zatrudniony w biurze – skanował, kopiował, wklepywał dane. Teraz pracuje fizycznie w zakładzie produkcyjnym. Współpracownicy wiedzą, że na coś choruje, ale bez szczegółów. Od kilku lat stać go na wynajem mieszkania. Niedługo bierze ślub z Anią.

Eryk uważa, że w znalezieniu pracy przeszkadzało mu nie tylko zaburzenie psychiczne.

– W podstawówce byłem zahukany, w czwartej klasie koledzy zaczęli mnie gnębić. Wtedy moje oceny poleciały na łeb na szyję. Rodzice uparli się, żebyśmy skończyli zawódówkę handlową. Potem poszedłem do liceum dla pracujących, ale byłem zbyt słaby z przedmiotów ścisłych, żeby je skończyć.

Starając się o pracę, Eryk ukrywa więc nie tylko swoje zaburzenia psychiczne, ale też wykształcenie.

– W CV w ogóle o nim nie piszę. Z prac wymieniam te, które uważam za bardziej ambitne, np. dziennikarza i pracownika helpdesku. Wykonywałem je krótko, ale w CV ten okres wydłużam. Nikt tego nie sprawdzi, bo tamte firmy już nie istnieją – mówi.

Eryk najbardziej był zadowolony z pracy stróża nocnego w szkole.

– Nie wymagała spotkań z ludźmi. Siedziałem, czytałem książki, myślałem o życiu. Ale w sezonie urlopowym musiałem zastępować innych pracowników i z powodu przemęczenia dostałem złamanie nerwowego. Poszedłem na półroczne zwolnienie. Na szczęście miałem umowę o pracę. Psychiatra uważał, że to nie było zajęcie dla mnie. Osoby chore psychicznie nie powinny pracować w nocy. Po chorobowym zwolnili mnie dyscyplinarnie, bo przez swoje zakręcenie w pracy pojawiłem się dzień później, niż powinienem. Zaskoczyli mnie tą bezdušnością, bo wcześniej, gdy szefowa poznała powód zwolnienia, mówiła, że jeśli będę potrzebował pomocy, mam się do niej zgłosić.

Teraz Eryk mieszka u kolegi. Niedawno dostał orzeczenie o niepełnosprawności z powodu choroby psychicznej. Liczy na to, że dzięki temu znajdzie pracę w zakładzie pracy chronionej. Wysłał 10 życiorysów, ale nie dostał odpowiedzi.

– Proszą o kod niepełnosprawności. Pewnie gdy widzą 02-P, myślą: „Uuu, problem z głową. To dziękujemy” – stwierdza.

Teresa po pierwszym pobyciu w szpitalu psychiatrycznym wróciła do pracy w szkole. – Zнали mnie, więc stwierdzili, że mogą mi na to pozwolić.

Uczyła różnych przedmiotów, m.in. religii, historii i wychowania fizycznego.

– Skończyłam podyplomówkę w tym ostatnim kierunku, ale po lekach przytyłam ponad 40 kilo. Trudno było mi zrobić zwis czy nawet fikolek ze wstaniem. Wcześniej byłam bardzo aktywna. Z dziećmi jeździłam na pielgrzymki, koncerty i obozy harcerskie. Nie skupiałam się tylko na przekazywaniu wiedzy, uczeniu formułek. Chciałam dać coś więcej. Potem było mi trudniej. Chyba stałam się trochę gorszym pracownikiem – ograniczyłam się do wykonywania swoich obowiązków – stwierdza.

Pracę z uczniami Teresa wspomina bardzo dobrze. Kontakt z ich rodzicami – zdecydowanie gorzej.

– Byłam nieśmiała. Ktoś z grona pedagogicznego powiedział, że rodzice zaczynają rozmawiać o mojej chorobie. Że „głupia uczy”. No nikt nie chciałby słyszeć tego na swój temat. Przeszłam na rentę. Ale chciałam pracować, więc zgłosiłam się do urzędu pracy. O chorobie nie mówiłam. Raz zaproponowano mi pracę nauczycielki

WF-u w liceum. Ale zapytałam tę panią w urzędzie: „Co ja z taką tuszą będę w stanie zrobić? W wiejskiej podstawówce można było wziąć najsprawniejsze dziecko i prosić je, żeby pokazywało ćwiczenia. W liceum to nie wystarczy”. Więcej propozycji pracy nie dostałam. Zrezygnowałam już z poszukiwań. Mniej mam teraz czynników stresujących. I pewnie dlatego od dawna nie byłam w szpitalu. Ale brakuje mi pracy. Tyle że ja nigdzie poza szkołą się nie widzę – stwierdza.

Na brak pieniędzy się nie skarży. Jan też otrzymuje rentę.

– Teraz wszystko drożeje, ale najwyżej na jednym zaoszczędzimy, żeby na drugie starczyło – stwierdza Teresa.

## JESTEM ICH NADZIEJĄ

Magdalena kilka miesięcy po wyjściu ze szpitala znalazła pracę w dziale sprzedaży w dużej firmie.

– Trafiłam jednak w bardzo toksyczne miejsce. Nie dostałam wsparcia. Od razu wymagano ode mnie superwyników. Znowu zaczęłam mieć lęki. Po miesiącu poszłam na zwolnienie lekarskie.

W doświadczeniu pomogły jej dwa trzy-miesięczne pobyty na oddziale dziennym.

– Żałuję, że żaden lekarz wcześniej mi o tych oddziałach nie powiedział. Dowiedziałam się przypadkiem od koleżanki – mówi i tłumaczy, że oddziały można traktować jako etap przejściowy pomiędzy szpitalem a rynkiem pracy. – Mieliliśmy zajęcia psychoterapeutyczne i artystyczne. Przygotowywałam posiłki, robiliśmy przedstawienia i organizowaliśmy pikniki. Udział w zajęciach wymagał mobilizacji i samozaparcia, bo jednak trzeba było codziennie rano dotrzeć na oddział. No ale w naszym chorowaniu nikt nam nie pomoże, jeśli sami nie będziemy chcieli wyzdrowieć – stwierdza.

Magdalena uważa, że niektórzy trwają w chorobie, bo dzięki temu zyskują uwagę innych, czują się mniej samotni – ktoś o nich dba, zdejmuje z nich odpowiedzialność, coś za nich robi.

Dzięki oddziałom dziennym zyskała też trzy przyjaciółki i pracę, w której wreszcie czuje się dobrze. Tam usłyszała, że byłaby dobra jako asystentka zdrowienia, czyli tzw. ekspertka przez doświadczenie. To ktoś, kto towarzyszy osobie, która przechodzi kryzys psychiczny. Pomaga jej w kontaktach z lekarzami i rodziną, wysłuchuje, odwołuje się do swoich doświadczeń. Ze względu na to, że sam był w kryzysie psychicznym, jego wsparcie ma szczególne znaczenie.

– Kurs na asystenta zdrowienia kosztował 6 tys. zł i trwał rok. Raz w miesiącu przez weekend uczyliśmy się rozpoznawać emocje, opowiadać o swoich doświadczeniach, pracować z podopiecznymi, np. przygotować plan kryzysowy. Były symulacje trudnych rozmów z pacjentami. Potem miałam praktyki i kiedy tylko pojawił się etat – zgłosiłam się. Pierwszy raz na rozmowie kwalifikacyjnej mogłam powiedzieć o swojej chorobie – mówi.

Pracuje na cztery piąte etatu. Uważa, że gdyby próbowała dać z siebie więcej, mogłoby to się odbić na jej zdrowiu psychicznym. Praca jest jej pasją i w niej się spełnia. Przeszkadza jej tylko, że asystenci zdrowienia są słabo opłacani.

– Codziennie rano wchodzę na oddział uśmiechnięta. Witam się z każdym nowym pacjentem i znam imię każdego. Gramy w gry, układamy puzzle i rozmawiamy. Rad nie możemy udzielać, tylko dzielić się swoimi doświadczeniami i mobilizować. Czasem trzeba uświadomić ludziom, ile już zrobili.

„To, że pan zgłosił się sam do szpitala, to jest już miłowy krok!”. Czasem powtarzają, że nic z ich leczenia nie będzie. Wtedy proponuję trochę żartem: „To może teraz to nagramy, a potem posłuchamy?”. Kiedy pacjent słyszy tę propozycję, zaczyna bardziej wierzyć w to, że jego stan się poprawi. Myśli, że skoro ja jestem tak pewna, że on poczuje się lepiej, to pewnie mam rację. W końcu pojednej osobie w powrocie do zdrowia towarzyszyłam. Mam nadzieję, że jestem dla nich nadzieją. ●

*Po szpitalu  
Eryk wreszcie czuł,  
że ma na kogo liczyć*





Ile zarabia młodzież

# WAKACYJNA lista płac

**Malwina:** Taka praca to nie na moje nerwy.  
Chciałam uczciwie zarobić, a czułam się jak złodziej.  
**Kamila:** Ja zrobiłabym to chętnie bez pieniędzy



FOT. SHUTTERSTOCK

## 700 ZŁ ZA 10 DNI Z KOTAMI

– Okazja właściwie sama do mnie przyszła – opowiada 16-letnia Kamila z Warszawy. – Kolega z klasy powiedział, że jego mama szuka kogoś, kto zająłby się ich kotami przez pierwsze 10 dni lipca, bo oni wtedy wyjeżdżają. Umówiliśmy się na spotkanie. Odebrała mnie z przystanku autobusowego, poszliśmy do nich do domu. Zapytała, ile chciałabym za tę pracę zarobić, i – szczerze mówiąc – powiedziałam, że nie mam pojęcia. Mieszkamy blisko, więc nie jest dla mnie duży kłopot podjechać raz dziennie, nasycać kotom jedzenie, nalać wodę, zmienić żwirek w kuwecie. Właściwie zrobiłabym to też chętnie bez pieniędzy, po prostu po to, żeby pomóc. Ostatecznie mama kolegi zaproponowała 50 zł za każdy dzień i zapytała, czy to dla mnie w porządku. Uważałam, że to dużo.

Pewną trudnością było to, że w ich mieszkaniu trwał wtedy remont. Jednak mama kolegi powiedziała ekipie remontowej, że będę tu przychodziła, więc jakoś to oswoiliśmy. Koty okazały się boskie. Jeden stary, więc głównie leżał i chciał mieć spokój,

a drugi, maluch, robił wszystko, żeby ten starszy się nim zainteresował. Zrobiłam dla malucha zabawkę, taką wędkę, nagrywałam filmiki i przysyłałam mamie kolegi, żeby była spokojna.

Kiedy wrócili, dostałam umówione 500 zł plus 200 zł napiwku za te filmiki. Tak że moja pierwsza praca to było takie miękkie lądowanie, na cztery łapy można powiedzieć. Od starszych sióstr wiem, że praca sezonowa, taka prawdziwa, to może być trudne doświadczenie, moje siostry nieraz zostały oszukane.

Za zarobione pieniądze kupiłam sobie buty trekkingowe i plecak ze stelażem. W sierpniu wybieram się na obóz górski. Mam czworo rodzeństwa, więc nie ma szans, żeby każdy z nas dostawał tego typu nowe rzeczy od rodziców.

## O ZŁ ZA TRZY DNI PRZY ULOTKACH

– Jak tylko skończył się rok szkolny, zgłosiłam się do roznoszenia ulotek – mówi 18-letnia Malwina z War-

szawy. – Dostałam wykaz adresów i wkładam do skrzynek w środku klatki, absolutnie nie do pojemników na ulotki, bo wtedy nikt tego nie przeczyta. Do wielu bloków nie chciano mnie wpuścić. Jak dzwoniisz na domofon i mówisz: „Dzień dobry, ulotki”, to często ktoś po prostu się rozłącza. Zaczęłam mówić: „Dzień dobry, poczta”, ale to też nie jest dobre rozwiązanie, bo są tacy, którzy wychodzą na klatkę sprawdzić, czy to na pewno listonosz. I jak widzą ulotki, zaczyna się dyskusja. Zdarzyło mi się wysłuchać o wycince drzew, która zagraża naszej planecie, albo o kosztach sprzątnięcia bloku. Raz jeden typ nade mną stanął: „Teraz pani to wszystko zbierze, co tu pani naniósła, i wyjdzie stąd”. Taka praca to nie na moje nerwy. Chciałam uczciwie zarobić, a czułam się jak złodziej – rozglądałam się, czy nikt nie idzie, czy nikt mnie nie widzi. Po trzech dniach zrezygnowałam. Szefowa mi nie zapłaciła. Powiedziała, że się rozliczy, jak po tygodniu będzie podliczać wszystkich pracowników, ale potem dzwoniłam do niej i zostawiałam wiadomość, a ona nie odpowiedziała. Nie zdążyłam podpisać umowy, więc nie mam nawet żadnego dowodu, że te trzy dni przepracowałam.

ALEKSANDRA  
SZYŁŁO





## 500 ZŁ ZA MIESIĄC W STADNINIE PLUS 500 ZŁ PREMIJ OD RODZICÓW

Bliźniaki Krzysztof i Paulina, 17-latk, będą pomagać w sierpniu w wiejskiej stadninie u rodziców swojej koleżanki z klasy. Nie zarobią dużo, mają dostać po 500 zł za miesiąc, ale w pakiecie z pobytem i wyżywieniem przy rodzinnym stole, nad rzeką. Rodzice im obiecali, że jeśli wytrzymają, dostaną od nich drugie tyle.

## 1 TYS. ZŁ ZA DWA TYGODNIE Z DZIECKIEM

Kacper, 17-latek, będzie się opiekował dzieckiem z autyzmem. – To taki projekt, że wyjeżdżamy na dwa tygodnie do leśniczówki. Będzie tam kilka rodzin z dziećmi z autyzmem, a my będziemy ich wspomagać – nawiązywać kontakt, organizować integrację. Zaproponował mi ten wyjazd mój nauczyciel z liceum. Biorę gitarę i nadzieję, że dam radę. Zapytałem mamy. Powiedziała, żebym jechał.

## 100 ZŁ ZA DWA POKAZY MODY

Nadia, 18 lat: – Z jednej strony jestem bardzo szczęśliwa, bo wybrano mnie na pokazy mody. Teraz, w sobotę, na przykład mam zarobić 500 zł za pokaz. Jednak moi rodzice nie bardzo akceptują tę pracę. Tata spytał mnie, czy zamierzam być wieszakiem na ubrania. Moim rodzicom modeling kojarzy się z samym złem. Że zaraz na pewno zacznę brać narkotyki, uprawiać przypadkowy seks i przestanę się uczyć. To bzdura, ja mam plan na życie. Chcę zostać lekarzem psychiatrą. Na pokazach chciałabym po prostu nauczyć się dbać o siebie, lepiej ubierać i malować, nauczyć się obycia przed aparatem. Wciągnęła mnie koleżanka. Ale ona dla odmiany ma mamę, która jest bardzo zadowolona z tego, że Patrycja działa w modelingu. Nie mam pojęcia, ile zarobię, bo to nie jest pewna praca. Na razie mam pewne dwa pokazy. Za ten drugi mam dostać 600 zł. To, co zarobię, odłożę. Nie wiem jeszcze, co chciałabym kupić. Od września i tak wracam do nauki. Przede mną matura.

## 2800 ZŁ ZA MIESIĄC W LODZIARNI

– Po porażce z ulotkami poszłam do galerii handlowej z założeniem, że wejdę do każdego miejsca, gdzie jest wywieszka, że szukają pracownika – opowiada 18-letnia Malwina. – To nie było dla mnie łatwe, bo miewam opory przed rozmawianiem z obcymi. Jednak już w pierwszym miejscu dano mi szansę. Nakładam lody. Mam dużo pracy, bo często jest kolejka, ale to mi w ogóle nie przeszkadza. Pracuję ze świetnym zespołem, poza mną są dziewczyny studentki. Są starsze, myślałam, że będą mnie traktowały z góry. A one, jak czegoś na początku nie wiedziałam, na luzie mi tłumaczyły. Ostatnio zaprosiły mnie do wspólnej grupy na WhatsApp i to było bardzo miłe.

Mam tutaj umowę-zlecenie na miesiąc, przychodzę od 10 rano do 18 albo od 14 do 22. Umowę podpisałam, zanim przystąpiłam do pracy, a właściwie do przeszkolenia. Dla szefowej to było oczywiste, co bardzo mnie pocieszyło. Zarobione pieniądze zamierzam odkładać na komputer. Chciałabym w przyszłości studiować grafikę komputerową, a mojej mamy nie stać, żeby mi kupić dobry sprzęt.

## 3 TYS. ZŁ ZA MIESIĄC W SKLEPIE

– Moi rodzice prowadzą osiedlowy sklep spożywczy i – szczerze mówiąc – nie mam

wyboru, pracuję tam i koniec – mówi 18-letni Grzegorz z Białegostoku. – Mama ma problemy z kręgosłupem, moja starsza siostra jest w ciąży, więc do mnie i do ojca należą wszystkie ciężkie roboty – jedziemy na giełdę po warzywa i owoce, układamy skrzynie w magazynie, do mnie należy też wyłożenie świeżego towaru w sklepie i pilnowanie, żeby wszystko było widoczne i niepomieszane. Wiadomo, klient wejdzie, weźmie chipsy, potem się rozmyśli, odłoży w cytrynach. Jesteśmy jedynym sklepem w okolicy, który nie należy do żadnej sieci, więc rodzicom zależy, żebyśmy byli najlepsi. Nie możemy konkurować z sieciówką cenami, ale klienci wiedzą, że jeżeli mamy truskawki, to są to na pewno pyszne, świeże, słodkie truskawki. Jeśli ktoś chciałby coś kupić, a tego nie mamy, mówimy, że jutro będzie, i musi być. Bywa nerwowo. Jak ojcu się coś nie podoba, rzuca: „To zamknijemy sklep i ciekawe, z czego wtedy będziemy żyli”. Ale z drugiej strony wiadomo, że rodzina to rodzina, nie muszę się martwić, że rodzice mi nie zapłacą. Siostra przyjeżdża po południu stać przy kasie, przywozi wtedy obiad i jemy na zapleczu. Kiedy chcę pojechać na mecz, nie muszę nikogo obcego prosić o wolne.

Umówiłem się, że na cały lipiec mam za to 3 tys. W sierpniu jadę z kumplami na Mazury. Potem znowu ja, do rozpoczęcia roku szkolnego.

Od września będę pracować tylko w soboty, mama się boi, że nie zdam matury. Bywa ciężko, ale w pracy na pewno dobre jest to, że mam swoje pieniądze. Nie muszę żebrać od rodziców na Mazury albo na wyjście na miasto jak niektórzy moi kumple. Nie chciałbym pisać do mamy: „Mamo, wyślesz mi na kebaba?” i usłyszeć: „Po co ci znowu kebab? W domu jest zupa”. Kumple tak mają.

## 2800 ZŁ ZA MIESIĄC W SKŁADNICY HARCERSKIEJ

– Mam pracę marzeń – mówi Olaf, 19-latek z Warszawy. – Zatrudniłem się w składnicy harcerskiej. A najlepsze, że pracuję tu też moja dziewczyna, więc spędzamy czas razem, osiem godzin pięć razy w tygodniu. Pochwalę się, że znam chyba każdą rzecz, która stoi na półce, mogę uczciwie doradzić. Ponieważ mam za sobą wiele obozów harcerskich, wiem, która menażka się lepiej sprawdzi i dlaczego. Oczywiście starsi harcerze mają wiedzę, więc wymieniamy się doświadczeniami.

W sierpniu wyjeżdżamy na obóz. Potem chciałbym tu wrócić. Dostałem się na informatykę i ekonometrię, nie mam pojęcia, jak będzie z czasem.

Za zarobione pieniądze zamierzamy pojechać z moją dziewczyną w Tatry we wrześniu. Liczyłem ostatnio z moim bratem, ile by to wyniosło, i to jest świetne uczucie, że mnie na to stać z własnych pieniędzy.

## NIE WIADOMO

Michał, 16 lat: – Jadę do dziadka na wieś zbierać porzeczki. Będziemy je sprzedawać po 5 zł za kilogram pod supermarktem, bo dziadek powiedział, że w sklepie są po 7, więc żeby u nas kupowali. Nie mam pojęcia, ile zarobię. Chciałbym, żeby wystarczyło na jordan (ok. 600 zł), to moje marzenie. To jest pomysł dziadka, wcześniej nie zarabiałem własnych pieniędzy. Dziadek mówi, że porzeczki tak obrodziły, że nie są w stanie tego przerobić, więc dla mnie to okazja. Cieszę się. Dziadek zawsze był moim przyjacielem, więc myślę, że dobrze spędzimy czas, niezależnie od tego, ile z tego będzie pieniędzy. ●

# Koniec Twittera, czyli każdemu wolno marzyć

Orliński



## Parę lat temu ogarnęło mnie marzenie, by do papierowej gazety napisać o zamknięciu Twittera.

Tyle razy było odwrotnie: na Twitterze informowano, że ta czy tamta gazeta przestała się ukazywać, że byłoby to sprawiedliwe, gdyby udało się to odwrócić.

Moja niechęć do tej platformy jest wyjątkowo silna, pozostałe media społecznościowe – TikTok, Facebook czy YouTube – przynajmniej bowiem nie udają, że chodzi im o coś więcej niż o wyświetlanie reklam. Tymczasem Twitter, zarówno pod poprzednim kierownictwem, jak i teraz, za czasów Elona Muska, prezentuje siebie jako „cyfrowe forum swobodnej debaty”.

Pisałem o tym w swojej książce 10 lat temu, napiszę to ponownie: monopolistyczna korporacja ogranicza wolność słowa przez sam fakt bycia monopolistyczną korporacją. Kiedy któraś z nich udaje, że chce bronić wolności – jest to po prostu obrzydliwa hipokryzja.

Elon Musk udaje „absolutystę wolności słowa”, ale oczywiście w praktyce usuwa i zakazuje treści, które nie pasują mu do jego konserwatywnego światopoglądu.

To typowe dla prawicy: gdy mówi, że jest „za całkowitą swobodą dyskusji”, to oznacza zakaz dyskutowania o rasizmie, seksizmie, wyzysku i transfobii. Kiedy prawica mówi, że jest przeciw „unieważnianiu”, to znaczy, że chce „unieważnić” osoby oskarżone o „wyznawanie ideologii woke”. I tak dalej.

Niedawno Musk ocenzurował na Twitterze filmik wyborczy pod hasłem: „Trzymajcie Republikanów z dala od waszych sypialni”. Twitterowa wyszukiwarka blokuje możliwość szukania dyskusji na jego temat – można go za to obejrzeć na YouTube czy TikToku.

Filmik przedstawia parę młodych ludzi. Całują się, sięgają po prezerwatywę. Niespodziewanie wyrwa im ją odziany w garnitur mężczyzna, który przedstawia się jako „wasz nowy republikański kongresmen”.

Złośliwe, ale przecież celne. Zwłaszcza młodym ludziom należy przypominać, że postawa „nie interesuję się polityką, żyję swoim życiem prywatnym” jest samobójcza, bo gdy prawica dojdzie do władzy, będzie im układać życie prywatne według swoich religijnych przesądów. Widać to przecież także w Polsce.

Ale nawet jeśli Elon Musk się nie zgadzał z przesłaniem tej reklamy, to co z niego za „absolutysta wolności słowa”, skoro zakazał rozmawiania na jej temat? A przecież nie był to jedyny taki przypadek, bez trudu wygooglają państwo inne przykłady Muskowej cenzury.

To ja już z dwojga zleję wolę TikToka, który nie mówi o „wolności słowa”, ale w praktyce pozwala na więcej. Dlatego życzę Twitterowi jak najgorzej.

Moje marzenie w pewnym sensie się spełniło. Nie ma już Twittera, jest X – ogłosił sam Elon Musk. X ma być „everything app”, czyli „aplikacją do wszystkiego”.

Dawny serwis społecznościowy to teraz Xitter. Wypowiedź na nim to xeet. Nie wiadomo tylko, jak to wymawiać – w wielu językach „x” zastępuje głoskę „sz”, ale chyba nie o to chodziło Muskowi?

Oczywiście, mi też w moim marzeniu chodziło nie o zmianę nazwy, tylko o całkowity upadek serwisu. Mam nadzieję, że do niego już blisko, bo jestem gotów się założyć, że Muskowi nie uda się pomysł z „aplikacją do wszystkiego”.

Takie aplikacje rzeczywiście działają w niektórych krajach, najbardziej znanym przykładem jest chiński WeChat. Poza funkcjami społecznościowymi służą do robienia przelewów, zamawiania jedzenia, poświadczania tożsamości – słowem: naprawdę do wszystkiego.

To kura znosząca złote jajka. Właściciel przecież pobiera prowizję również „od wszystkiego”.

W mediach widziałem wiele spekulacji typu „czy Muskowi się to uda”. Większość skupiała się jednak na aspekcie technicznym, a moim zdaniem to nie on zadecyduje.

Z prawnego punktu widzenia taka „superaplikacja” to „monopol wertykalny”, czyli wielobranżowy (w odróżnieniu od horyzontalnego, monopolizującego jedną branżę). Musk będzie musiał poprosić antymonopolowe instytucje w USA i Unii Europejskiej o zgodę na realizację tego planu.

Kilkanaście lat temu panowała atmosfera miłości do internetu. Unijni i amerykańscy regulatorzy przymykali oko na rozkwit monopolu Google’a, Amazona i Facebooka, bo bali się narazić opinii publicznej.

To źle, bo łatwiej zapobiegać tworzeniu się monopolu, niż je potem rozbijać. Miłość do cyberkorpów wszystkim już jednak przeszła, więc teraz oczekuję, że Waszyngton i Bruksela powiedzą: „Nie ma mowy”.

Moja prognoza jest więc taka: Musk nie dostanie zgody na „aplikację do wszystkiego”. Nowego modelu biznesowego nie uda mu się uruchomić, a dotychczasowy sam sobie zniszczył – zachowuje się od kilku miesięcy tak, jakby celowo chciał odpedzać ogłoszeniodawców.

Nawet miliardier nie może w nieskończoność ponosić takich strat. Muskowi w końcu zabraknie kasy na te wyglupy i będę mógł wtedy napisać felieton moich marzeń, ten o ostatnim xeetnięciu na likwidowanym Xitterze.

**Wojciech Orliński**



Co syn i doradca prezesa NIK robi w Konfederacji

# MNIE PAN Z ŻOLIBORZA nie zaczaruje

– W przyszłym roku czekają nas nowe wybory parlamentarne i wtedy się wszystko rozstrzygnie – mówi Jakub Banaś, kandydat Konfederacji, najstarszy syn prezesa NIK

– Ma pan sporo zarzutów karnych. Zacytuję prokuraturę w Białymstoku: wyłudzenie około 120 tys. zł z funduszu na zabytki Krakowa, wyłudzenia zwrotu podatku VAT na 80 tys., podrobienie faktur na 310 tys., poświadczenie nieprawdy co do wykonania prac budowlanych, sfalszowanie protokołu odbioru robót... Start do Sejmu ucieczką w immunitet?

– Nie boję się zarzutów, bo jestem niewinny, a immunitet i tak mi uchyla – mówi mi Jakub Banaś, dwójka na konfederackiej liście do Sejmu w Warszawie (jedynkę ma Sławomir Mentzen).  
– To po co pan w ogóle startuje?  
– Ujmując szeroko: by rozbić patologiczny duopol PiS-u i Platformy. Wywrócić ten stolik.

– Już wielu to deklarowało. Stan Tymiński, Andrzej Lepper, Janusz Palikot, Paweł Kukiz...  
– ...który teraz pije wino z Kaczyńskim i razem śpiewają. Mnie pan z Żoliborza nie zaczaruje.

– Ale Konfederacja nie będzie rządzić sama. Nie wywróćcie stolika.  
– Nie byłbym taki pewny. Sejm wybrany jesienią przetrwa – moim zdaniem – najwyżej do przyszłego roku. Będzie rząd mniejszościowy, który się wywali na większym zakręcie.

– A ujmując wąsko: startuje pan po co?  
– Jednym z mych głównych postulatów jest nadanie uprawnień prokuratorskich NIK-owi. Żeby w państwie, gdzie prokuratura jest powolna władzy,

o czym się przekonuję obecnie na własnej skórze, była chociaż ta jedna niezależna instytucja kontrolna.

– To dla ojca. A inne postulaty?  
– Odchudzenie państwa, taka ustawa Wilczka 2.0. Bo ludzie widzą, jak funkcjonują skarbowka, ZUS, spółki państwowe. Wszędzie nominaci PiS-u. Żeby choć nic nie robili... Ale szkoda! A my płacimy rentę korupcyjną w cenach energii, paliwa...

– Pan sam był nominatem w spółkach skarbu państwa.  
– Dlatego wiem, o czym mówię. Kiedy zobaczyłem od środka centralę Polskiej Grupy Zbrojeniowej, nie wierzyłem oczom. Nie mogłem się dowiedzieć, czym oni się zajmują. Spytałem chyba pół setki menedżerów. Nikt nie umiał powiedzieć, o co w tej firmie chodzi, jaki ma model biznesowy, jakie usługi świadczy i komu. Średnia wieku w zespole ds. strategii 26 lat, absolwenci historii, socjologii... garstka po studiach technicznych, żadnego doświadczenia w przemyśle, wojskowych jak na lekarstwo...

– Ciekawe, skąd ci ludzie się wzięli.  
– Rekrutacja była, powiedzmy, specyficzna... Dużo tam było padawanów ministra Macierewicza.  
– Pan przyszedł jako znajomy członka zarządu PGZ Szczepana Rumana, którego znał z Opus Dei.

– Tym niemniej starałem się coś konkretnego zrobić, dopóki mnie nie wywalili.

– A teraz Konfederacja przyszła do pana czy odwrotnie?

– Sygnały stamtąd miałem wcześniej, bo znam się z Robertem Winnickim, znam ludzi ze starego UPR, ale dopiero Sławek Mentzen złożył mi osobiście konkretną propozycję.

## WEEKENDOWA RODZINA

Jakub Banaś urodził się w 1979 r. Dzieciństwo upłynęło „pod znakiem braku ojca”. Na rowery i kajaki zabierał go brat mamy – Adam.

Matka, Kuba i młodszy o cztery lata brat Bartek mieszkali wtedy w Czchowie – dwupółtysięcznym miasteczku w pół drogi z Krakowa do Krynicy-Zdroju. Nim Jakub skończył podstawówkę, na świat przyszła jeszcze dwójka rodzeństwa.

– Nowym bratem i siostrą zajmowałem się po powrocie ze szkoły, bo mama – nauczycielka klas jeden-trzy – była opiekunką świetlicy i wracała późno. Do tego praca na przydomowym polu: ziemniaki, drzewa w sadzie – też na mojej głowie. Zimą palenie w piecu, latem sianokosy i żniwa w rodziny ojca. Szybko dojrzałem, ale w sumie dzieciństwo miałem fajne.

Marian Banaś mieszkał głównie w Krakowie. Po wyroku za działalność w nielegalnej „Solidarności” był m.in. redaktorem naczelnym podziemnego pisma „Homo Homini”. Za demokracji doradzał m.in. rządowi Jana Olszewskiego. Od 1992 przez 13 lat w NIK (zaczynał pod Lechem Kaczyńskim). Od 2005 – wice-minister finansów w pierwszym rządzie PiS-u i szef Służby Celnej. Do Czchowa zaglądał w weekendy, i to nie wszystkie.

– Miasteczko było matecznikiem PSL-u. Klimaty wiejsko-katolickie, ludzie fajni i wspierający. Ośrodkiem kultury był kościół, chodziliśmy całą rodziną: roraty, rekolekcje, nabożeństwa majowe... Grałem w przykościelnym teatrze.

Dziś z czworga rodzeństwa Banasiów w Polsce mieszka jedynie Jakub. Para najmłodszych – w Anglii i w Portugalii. Bartek zginął w 2004 r. w Pirenejach. Przechodził nad wodospadem, spadł, przegnił go strumień wody.

– Ciało wydobyto po trzech miesiącach – mówi Jakub Banaś. – Było rozłożone, musiałem je zidentyfikować na podstawie medalika i butów. A to z Bartkiem miałem największą sztamę. Jak usłyszałem przez telefon, że się zgubił, wiedziałem już, że tragedia. On nie był człowiekiem, który może się zgubić.

## KOLEDZY Z OPUS DEI

W 1994 r. Jakub Banaś dostał się do krakowskiego IV Liceum. – Przyjęto mnie do klasy z rozszerzonym niemieckim, były różne wymiany z Niemcami, wyjazdy otworzyły mi głowę.

– Na tyle, że po czwartej klasie wstąpił pan do Opus Dei.

– Rozważałem nawet, czy nie zostać księdzem albo zakonnikiem, ale ostatecznie zdecydowałem, że będę działał w świecie jako celibatariusz.

– Żadnych kontaktów z dziewczętami?  
– Kontakty – oczywiście, ale bez bliższych relacji.  
– I co pan w tym Opus robił?

– Dzieło to pogłębianie wiedzy i wiary. Zrobiłem studia teologiczne i filozoficzne. Pozauczelniane – w ośrodku akademickim Dzieła na Filtrowej w Warszawie. Mieszkałem tam w czymś w rodzaju męskiego akademika, w pokoju z dzisiejszym prezesem ważnej spółki z Polskiej Grupy Zbrojeniowej oraz z obecnym szefem jednego z polskich banków.

– Ale studiował pan też na uczelni świeckiej.  
– Prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Krążyłem między Warszawą a Krakowem.

Na drugim roku prawa podjął pracę w „Naszym Dzienniku” ojca Tadeusza Rydzika. Współredagował dodatek akademickiej gazety.

– Poznałem wówczas ludzi z Ligi Republikańskiej, z Klubu Jagiellońskiego, chodziłem na seminaria ojca Macieja Zięby, poznałem Witka Ziobrę, który działał w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. A przez Dzieło zetknąłem się z Jadwigą Emilewicz i Jarosławem Gowinem. No i przede wszystkim poznałem – na pielgrzymce w Rzymie – Przemysława Wiplera, który mi otworzył oczy na libertarianizm.

Starszy o rok Wipler, doradca podatkowy w Ernst & Young, był wówczas członkiem liberalnego think tanku Centrum im. Adama Smitha i redaktorem naczelnym wydawanego przez Janusza Korwin-Mikęgo „Najwyższego Czasu!”. Dziś kandyduje z pierwszego miejsca Konfederacji w Toruniu. Zastąpił Tomasza Mentzena – młodszego brata Sławomira, który zrezygnował m.in. po naszych publikacjach o jego niejasnych interesach z bydgoskim recydywistą Adamem Gramowskim.

– Kuby Banasia się nie wyprę – mówi Wipler. – Za przyjaźniliśmy się 20 lat temu, pożyczałem mu książki – klasyków myśli politycznej, zwłaszcza wolnościowej.

– Jak by pan określił jego osobowość?  
– Zacięty, pracowity, nieustępliwy, błyskotliwy. Miał pomysły, które innym by nie przyszły do głowy.

Pomyślem Banasia było np. założenie prywatnego akademika w słynnej późniejszej kamienicy przy ul. Krasickiego 24 w Krakowie. W 2000 r. jego ojciec dostał tę nieruchomość – zniszczoną i z lokatorami w środku – od weterana Kedywu AK Henryka Stachowskiego, który zrzekł się prawa własności w zamian za dożywotnią opiekę. Były żołnierz zmarł latem 2007 r. Banaś senior – już wcześniej – wykwaterował lokatorów (niektórych w efekcie procesów) i rozpoczął remont.

– W 2003 r. prace były na ukończeniu, ale ojciec, zajęty pracą w NIK, nie miał pomysłu na tę kamienicę – mówi najstarszy z synów. – Ja tymczasem wiedziałem, że Gowin i Emilewicz otwierają uczelnię imienia Józefa Tischnera...

Wyższą Szkołę Europejską z modnymi kierunkami (grafika reklamowa, e-marketing, psychologia, multimedia).

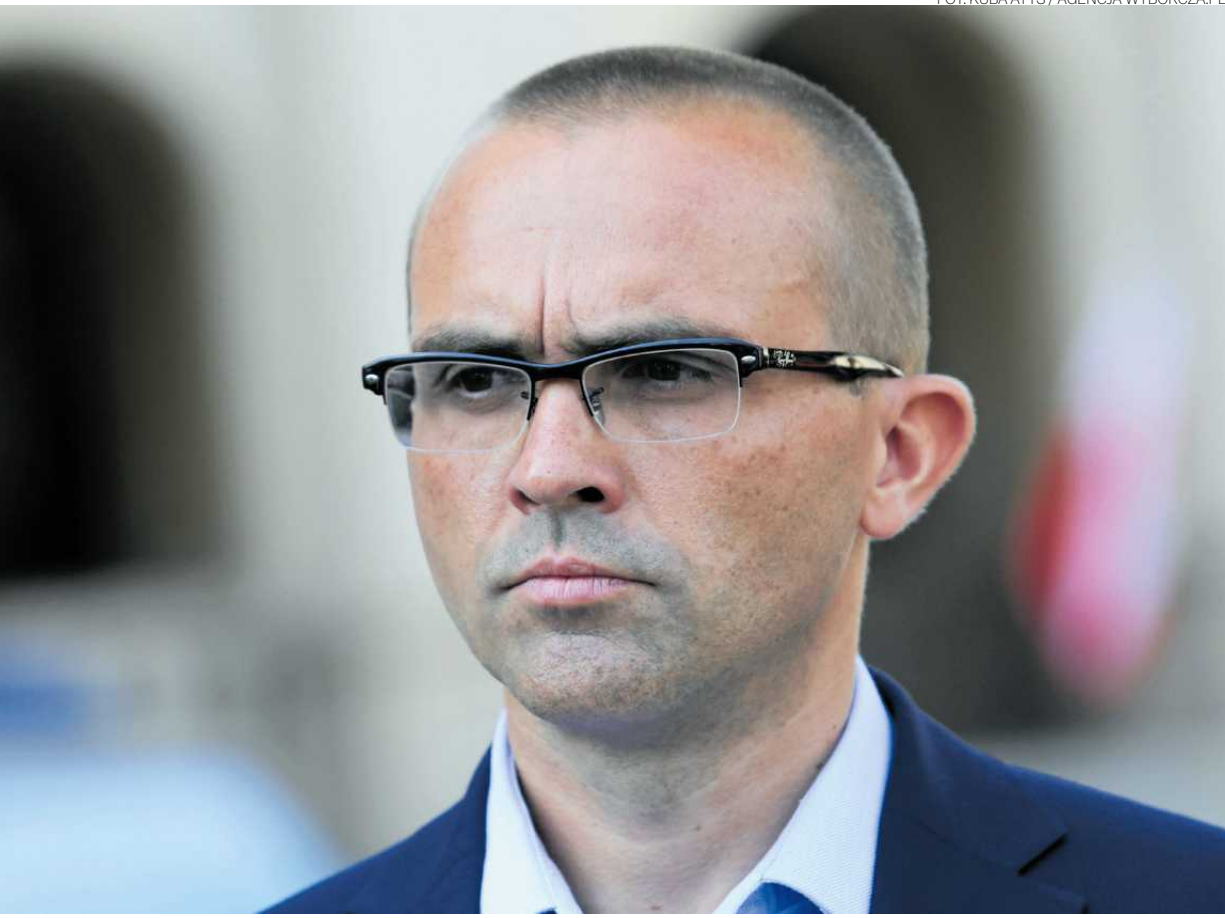
– Dogadałem się z nim i z Emilewicz, że będą mi podsyłać studentów. W ciągu trzech tygodni mia-

PIOTR  
GLUCHOWSKI





FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL



lem kamienicę pełną. Na 400 metrach zmieściło się 30 osób. Był to dobry biznes, chociaż miałem z tego miesięcznie gdzieś 1500. Czynsz płynął głównie do kieszoni ojca. A ja harowałem jak dziki, bo jednocześnie prowadziłem administrację w Barbakanie, krakowskim ośrodku Dziela, w którym wówczas mieszkałem.

Trzypiętrowa czynszówka nr 24 (okrzyknięta później „kamienicą na godziny”) ma użytkowe poddasze i duże piwnice. Kolejny pomysł Jakuba Banasia: otworzyć w nich sale do szkoleń. Polska wchodziła do Unii, wszyscy się doszkalali.

– To był strzał w dziesiątkę, bo w Krakowie brakowało sal. Miałem z tego już lepszy zarobek, ale chciałem iść dalej. Dogadałem się z ojcem, że będzie dostawał tyle czynszu, ile z akademika, a ja zrobię hotel.

Po wejściu do Unii do Krakowa przylatywały tłumy, których nie stać na Paryż. Banaś stworzył dla nich dwugwiazdkowy pensjonat. A że wraz z UE pojawiły się też fundusze na zabytki – korzystał. Ze Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego dostał 100 tys. Powstała Rezydencja Krasickiego 24.

– W sezonie turystycznym miałem kilkanaście tysięcy z miesiąca, po sezonie – nie dokładałem. Na poddaszu uruchomiłem hostel. Bo tam były pokoje z łazienką w korytarzu. Kłopot polegał na tym, że się nie mieścił autobus.

– Nie mieścił się na podwórzu?

– W budynku się nie mieściła standardowa wycieczka, czyli 50 osób. Co rusz miałem overbooking. Musiałem wysyłać część ludzi do pensjonatów w okolicy i tak nawiązałem kontakt z działającą na Podgórzu firmą Pokoje Gościnne Klatt.

## LEKCJE O SUKCESJI

Kolejny interes Jakuba Banasia to pub Katedra na ulicy Poselskiej z wystrojem inspirowanym filmem Tomasza Bagińskiego oraz piwem rzemieślniczym.

– To był rarytas, hit! Wszędzie dawano żywca albo tyskie z sokiem, ja miałem piwa smakowe... Posze-

dłem za ciosem i otworzyłem drugi pub – Sarmację. Również na Starym Mieście.

– Świetne miejsce – wspomina Przemysław Wipler. – Gdy zakładałem stowarzyszenie Republikanie, właśnie tam zrobiliśmy spotkanie organizacyjne.

Banaś miał hotel, hostel, dwie knajpy, do tego pracował dla Dziela.

– I jeszcze mi było mało. Skoro biznesy kręcą się same, a przecież skończyłem prawo, więc może kancelaria? Założyliśmy ją z Pawłem Dońcem.

Krakowska Kancelaria Prawa Gospodarczego została połączona z firmą szkoleniową Banasia Open Qualis, która zapewniała obłożenie salom w hotelowej piwnicy. Z kolei słuchacze szkoleń dostawali ofertę kancelarii Banasia i Dońca.

– Wynajmując latami sale przy Krasickiego, wiedziałem, na jakie treningi jest popyt. Przede wszystkim: optymalizacje podatkowe dla ludzi zaczynających działalność gospodarczą.

– Czyli: „Jak nie płacić?”. Tego samego uczył w Toruniu Mentzen.

– Raczej: „Jak się nie dać okradać przez najsukrecniejszą mafię: polityków i urzędników”. Sam, jako small businessmen, nabawiłem się nienawiści do skarbowki i ZUS. Obie te instytucje duszą przedsiębiorczość. Szkoliliśmy też prywatny sektor w sukcesji. Teraz to jest modne, bo pierwsze pokolenie polskich businessmenów przekazuje interesy następcom. Wtedy nikt tego nie kumał.

– Skoro szło panu tak pięknie, czemu się popieprzyło?

– Organizm nie wytrzymał. Wypalenie, nieumiejętność bycia asertywnym, przemęczenie tysiącami zadań. A przy tym ciągły niedostatek kapitału, czego doświadcza wielu mikroprzedsiębiorców.

## POKÓJ 50 ZŁ ZA GODZINĘ

Okolo roku 2007 biznesy Jakuba Banasia zaczęły dołować. Powstało w Krakowie mnóstwo lepiej poło-

żonych pensjonatów i hoteli. Pubów też przybywało, a smakowe piwa sprzedawano w Leclercu i Auchan.

– Powiniennem ratować interesy, a tymczasem miałem coraz więcej pracy w ośrodku Barbakan. Przyszedł kryzys, poczułem, że muszę odejść. Byłem w głębokiej depresji. Na opuszczenie Dziela musiałem mieć zgodę Rzymu. Doświadczenie emocjonalne porównywalne z rozwodem. Jeszcze pół roku wcześniej rzucenie powołania nie mieściło się w moim imaginariu absolutnie. No... zajechałem się tymi działalnościami wszystkimi, a nie trafiłem na nikogo, kto by mi wówczas pomógł.

– Nie poszedł pan do lekarza?

– Nie. Męczyłem się półtora roku, ale gdy Rzym dał zgodę, poczułem dużą ulgę. Opuściłem Barbakan, zamieszkałem częściowo na Krasickiego, częściowo w mieszkaniu ojca na Zamkowej. W 2011 ustaliliśmy z nim, że wynajmiemy Rezydencję, i to ja poszukałem najemcy. Chciałem 8 tys. miesięcznie za 460 metrów powierzchni użytkowej i nie znalazłem chętnego. Gdy zjechałem z ceny, zgłosił się „Simon” z Pokojów Gościnnych Klatt.

Pochodzący z Ilawy bracia „Simon” i „Paolo” Klattowie (obaj około pięćdziesiątki) byli już w tym czasie recydywistami. W 2005 r. starli się z grupą krakowskich alfonsów – gangiem niejakiego „Marchewy”. W bitce użyto siekier, noży, maczet. Ucierpiał policjant, a braci skazano. Po wyjściu założyli firmę z pokojami pod najem. Zarejestrowali ją na syna partnerki „Simona”, 26-letniego Dawida. I to on stał się formalnie najemcą Rezydencji.

– Były trzy strony układu – tłumaczy Jakub Banaś. – Ja i mój sprzęt hotelowy, tata jako właściciel budynku oraz bracia Klatt. Trzeba było tak zrobić, by wyszło win-win-win. Tata dogadał się z „Simonem”, że oni ostatecznie kamienicę kupią – na Dawida. By Dawid dostał kredyt na ten zakup, musiał wykazać dochody.

Dlatego Marian Banaś zgodził się na niski czynsz: 3,5 tys. Resztę rodzina Klattów miała wyrównać przy kupnie nieruchomości.

Dawid, jego ojczym „Simon” i wujek „Paolo” zmienili nazwę z Rezydencji Krasickiego na Rezydencja Klatt. Według cennika 2014-16 pokój z łazienką dla dwóch osób kosztował 50 zł za godzinę, 100 zł za pięć godzin. Pokojów było 14. Tymczasem Banaś senior – od roku 2015 ponownie szef Służby Celnej i Krajowej Administracji Skarbowej – nie wpisał dochodów z najmu do oświadczenia rocznego za 2016 r. Kolejnego – za 2017 – w ogóle nie ujawnił. Rok później wpisał podejrzanie niski dochód 5,5 tys. miesięcznie za najem kamienicy i dwóch krakowskich mieszkań.

## W MORDE ZA OJCA

Jakub tymczasem poznał Agnieszkę, która pracowała w recepcji jego Rezydencji i studiowała roszoznawstwo (nie mylić z rusycystyką) na UJ. – Nim zaczęliśmy chodzić, gawędziliśmy o teologii prawosławnej, o sztuce cerkiewnej... dobrze się rozumieliśmy.

Ślub i wesele odbyły się w Stajence – ośrodku rekolekcyjno-wypoczynkowym księży marianów w Rzepiskach pod słowacką granicą. Dziś, po 14 latach związku, Jakub i Agnieszka mają dwójkę dzieci. Mieszkają w Kaniach Helenowskich pod Pruszkowem (tym koło Warszawy), ich pociechy chodzą do szkoły katolickiej Sternik (pod opieką Opus Dei).

– Przeniosłem się najpierw do Warszawy, a potem pod nią, kiedy w 2017 r. zacząłem pracę w zbrojeniówce. Żona z dziećmi dołączyła później.

Polska Grupa Zbrojeniowa SA to państwowa spółka z 19 tys. zatrudnionych. Z profilu Banasia w LinkedInie wynika, że był tam: dyrektorem, doradcą zarządu i pełniącym obowiązki prezesa spółki zależnej Maskpol. Żeby wytłumaczyć, jak do tego doszło, musimy wrócić do roku 2009, gdy postanowił kupić – i odnowić – zrujnowaną willę Podskale, secesyjny pałacyk miejski w centrum krakowskiego Starego Podgórza.

– Miałem pieniądze z hotelu, z kancelarii, z pubów i ze szkoleń. Myślałem, że dam radę zrobić butikowy pensjonat, który mógłbym poprowadzić z żoną. Marzyło się stabilne życie. Podpisałem akt notarialny na willę, nie mając bankowej promesy kredytu, lecz tylko jej obietnicę. A potem mi odmówili. Po raz pierwszy zderzyłem się z polityką.

1 października 2009 r. „Rzeczpospolita” opublikowała stenogramy z poufnych rozmów szefa klubu parlamentarnego Platformy Zbigniewa Chlebowskiego i biznesmena z branży hazardowej Ryszarda Sobiesiaka. Obaj dogadywali nowelizację ustawy o grach i zakładach wzajemnych. W efekcie publikacji kariera „Chlebka” runęła, a Sejm powołał komisję śledczą, tak zwaną hazardową. 12 stycznia 2010 r. komisja przesłuchiwała – jako wiceministra finansów w byłym rządzie PiS-u – Mariana Banasia.

*Przyszło do mnie dwóch panów.*

*Mówili, że Banaś jest niegrzeczny, nie szanuje ludzi, że odbywają się w zakładzie imprezy z alkoholem...*

*Że on „nigdy nie powinien stanąć na czele jakiegokolwiek firmy”*



– Gdy zadzwonili z banku, myślałem, że w sprawie przyznania kredytu – mówi dalej Jakub Banaś. – A oni zapytali, czy aby nie jestem synem tego pana, który właśnie występuje w TV. Dostałem w mordę za ojca. Z głównego kredytu nici, zacząłem więc brać różne małe, czasem na duży procent. Przez 14 lat włożyłem w Podskale kilka milionów: swoich, pożyczonych i z różnych dotacji, a pensjonat, chociaż dzisiaj już prawie gotowy – wciąż nie ruszył. Bywały miesiące, że raty kredytów przekraczały 40 tys.

– Na remonty zabytków jest w Polsce 50 procent dopłaty.

– W Krakowie nawet więcej. Jest fundusz pod nadzorem prezydenta. Składałem wnioski, raz dostawałem kasę, a raz nie. Występowałem też o pomoc unijną i państwową. Prócz pracy przy restauracji zabytku ciągnąłem też Open Qualis – teraz to już była firma moja i Agnieszki. Stałem się specjalistą od restrukturyzacji, ratowania firm. Tymczasem moje własne raty kredytów rosły, willa wchłaniała pieniądze, aż nagle, w końcu roku 2016, stary kolega ze studiów i z Dzieła...

– ...Szczepan Ruman, który zasiadał w zarządzie PGZ SA...

– ...złożył mi propozycję, bym poszedł do ich spółki zależnej, wojskowych zakładów w Poznaniu, aby zrobić porządek. Pojechałem, pogadałem z panami z zarządu, złapałem się za głowę. Padawani Macierewicza, zupełnie niekompetentni. Powiedziałem: „Szczepan, ja nie chcę z nimi pracować”.

Lecz Ruman po roku wyszedł z nową ofertą. Tym razem w stołecznej centrali PGZ. Zadanie: dokończyć tworzenie strategii holdingu kapitałowego oraz przygotować schemat restrukturyzacji.

– Ja się na tym znałem. Pensja nie najgorsza: kilkanaście tysięcy na rękę. Tylko że jak zacząłem się wgrzyzać w problemy PGZ, byłem zdziwiony, że to w ogóle działa. Kiedy pytałem kierowników, co właściwie robią, mówili, że „tu się koordynuje działania i zakupy”. Zacząłem więc pracować samotnie nad strategią grupy. Jeździłem po zakładach, gadałem z ludźmi na dole, widziałem realne problemy fabryk. Nie zdążyłem zsyntetyzować tej wiedzy, bo w lipcu 2017 r. Macierewicz wyleciał z ministra i ruszyła karuzela.

## BANAŚ NIEGRZECZNY

W efekcie przetasowań w Polskiej Grupie Zbrojeniowej Jakub Banaś został pełniącym obowiązki prezesa podczęstochowskiej fabryki masek przeciwwgazowych, hełmów, kamizelek kuloodpornych, mundurów, tarcz... Pensja – niecałe 20 tys. brutto.

– Zakład zatrudniał przeszło tysiąc osób, a nie byli w stanie uszyć mundurów spełniających wymagania MON. Za Macierewicza mieli jego ludzi w zarządzie i dlatego dostali bezprzetargowo kontrakt na 100 tys. sztuk. Po odejściu Antoniego wpadli w konflikt z ekipą Mariusza Błaszczaka. Wstrzymano im przelew, groził strajk w zakładzie, mundurów jak nie było, tak nie ma. Nowy zarząd PGZ kazał mi tam jechać, odblokować produkcję. Objąłem firmę w kryzysie, z księgami, które się nie zgadzały ze stanem magazynów. W dwa i pół miesiąca zbudowałem szwalnię, bo wcześniej szycie zlecali podwykonawcom. 1100 tys. mundurów udało się zrobić.

Inaczej opisali sytuację sami zatrudnieni w Maskpolu, którzy poszli ze skargą do biura częstochowskiej parlamentarzystki Koalicji Obywatelskiej Izabeli Leszczyny.

– Najpierw dostałam anonimowy list podpisany „Pracownicy” – mówi mi posłanka. – Autorzy pisali w dramatycznym w tonie, że pracują tam po kilkanaście czy 20 lat i zawsze wytwarzali produkty na wysokim poziomie. Od czasu, gdy decyzje w zakładzie zaczęły podejmować nominaci PiS-u, spółka się posypała. Pamiętam, że użyli określenia „sodoma i gomora”. Jakis czas po tym przyszło do mnie dwóch panów osobiście. Mówili, że Banaś jest niegrzeczny, nie szanuje ludzi, że odbywają się w zakładzie imprezy z alkoholem, ktoś tam skakał nawet przez płot... O Banasiu się wyrażali: „Nigdy nie powinien stanąć na czele jakiegokolwiek firmy”.

Po wizycie pracowników Leszczyna i Tomasz Siemoniak (również poseł KO) próbowali wejść do Maskpolu z kontrolą parlamentarną. Nie zostali wpuszczeni ze względu na tajemnicę produkcji zbrojeniowej.

– Wysłaliśmy więc pytania. Jedną z kwestii była współpraca zakładu z firmą żony Banasia, o czym też mówili pracownicy. Dostaliśmy z PGZ odpowiedź: „Odczepcie się”.

– Dał pan zarobić żonie? – pytam Banasia. – Maskpol na gwałt potrzebował kasy, a się pojawił ZUS-owski program: dofinansowanie na poprawę warunków w miejscu pracy. Tylko nikt nie potrafił porządnie napisać wniosku. Więcej mówię do zarządu: firma Open Qualis to robi. Za kilka tysięcy złotych Agnieszka napisała projekt, jak pozyskać środki. Jednak ZUS ostatecznie odmówił.

– To powtórzę pytanie: skoro znowu szło dobrze, czemu się popieprzyło?

– Pojawily się służby.

## „ZADZWONIĘ DO BANASIA”

Fragment wywiadu dla „Dziennika Gazety Prawnej” z lutego 2022 r.:

„Banaś: – Kiedy pracowałem w Maskpolu, byłem rekrutowany na słuza zorganizowanej grupy przestępczej. Rekrutował mnie funkcjonariusz CBA, pokazał legitymację. (...) Deal miał polegać na tym, że z ich pomocą i wykorzystując kontakty mojego ojca z premierem Morawieckim, miałem zostać prezesem Polskiej Agencji Żegluga Powietrznej. Z opcją, że gość, który to organizował, zostałby dyrektorem operacyjnym. Panowie chcieli tylko, żebyśmy się odczepili od budżetów organizacji – od wolnej kasy, co leżała na koncie, od budżetu marketingowego, reklamowego i tego na usługi prawne.

Magdalena Rigamonti: – Na co miały iść te pieniądze?

Banaś: – Do zaprzyjaźnionych firm. Miałem być słupem pozwalającym na przejmowanie pieniędzy z superbogatej agencji finansowanej z europejskich funduszy, mieć pensję 50 tysięcy, sekretarkę, furę i latać po świecie, ile będę chciał”.

Mnie Banaś opowiada inną historię:

– Maskpol pod moim kierownictwem przystąpił do przetargu na kolejne mundury. Kontrakt na 80 mln. Zdobyłem go. Tymczasem otoczenie MON-owskich przetargów to wieloletnie układy, które naruszyłem. Nagle dostałem nieoficjalną informację z Banku Ochrony Środowiska, że będzie mi wypowiedziany kredyt, jeden z tych, które wzięłem na Podskale, chyba że... zwolnię fotel prezesa Maskpolu. Mniej więcej w tym samym czasie miałem krótki występ na zarządzie PGZ. Opowiedziałem, z jakim stykam się bałaganem. Wyprosilili mnie za drzwi. Co miałem robić? Wysłałem do rady nadzorczej wypowiedzenie z miesięcznym terminem, a potem złożyłem zawiadomienie do prokuratury na poprzedni zarząd Maskpolu. Chodziło o te księgi, co się nie pokrywały ze stanem magazynów. Kilka godzin po wysłaniu koperty do prokuratury zostałem odwołany w trybie natychmiastowym. W moim biurze w fabryce zjawilo się CBA. Zajęli mi komputer, ale choć bardzo chcieli, nie znaleźli niczego, z czego by można szyc sprawę.

– A akcja, o której pan mówił Rigamonti?

– Wezwano mnie w związku z tym wywiadem do prokuratury, ale próbowali tak przekręcić temat, by wyszło, że to ja korumpowałem faceta ze służb. Że to był mój pomysł: objąć agencję powietrzną, by wyprowadzać kasę. Skończyło się umorzeniem. To była szybka lekcja: „Jak będziesz zbyt wiele gadał, sprowokujesz kłopoty”.

Po zbrojeniówce Banaś zaliczył kolejną, świeżo upaństwowioną spółkę: „odzyskany” od Włochów Bank Pekao SA. W otrzymaniu posady znów pomógł stary kumpel.

– Witk Ziobro na wspólnej wycieczce górskiej, już po mojej przygodzie w zbrojeniówce, zapytał, czy nie chciałbym przyjść do banku, ponieważ szukają kogoś, kto umie restrukturyzować i zna się na analizie procesów biznesowych.

W tym czasie młodszy brat ministra sprawiedliwości był doradcą Michała Krupni-

skiego, prezesa PZU i Pekao SA. Faktycznie był jednak kimś więcej – kadrowym.

– W Pekao panował dużo większy porządek niż w PGZ – mówi Banaś. – Tam, w przeciwieństwie do zbrojeniówki, trzeba dowiedzieć wyniki na rynek.

Dyrektorem departamentu obsługi banku i pełnomocnikiem zarządu ds. strategii obrotu gotówkowego Jakub Banaś był osiem miesięcy: do grudnia 2019 r. Jak opowiada, stracił pracę z powodu większych ruchów tektonicznych. Solidarna Polska (dziś Suwerenna) próbowała kontrolować bank przez Witolda Ziobrę, ale przegrali z ludźmi ministra aktywów państwowych Jacka Sasina.

– To były koronkowe dekapitacje – wspomina Banaś. – Szef audytu został wyprowadzony przez ochronę, a w czasie, gdy jechał windą, skasowano mu wszystkie służbowe dostępy. Apogeeem czystki nastąpiło w końcu listopada 2019 r., w piątek. A w poniedziałek akcje spadły o prawie 10 procent.

Opinia publiczna odebrała wyrzucenie młodego Banasia – ze względu na zbieżność w czasie – jako skutek afery z kamienicą ojca.

21 września 2019 r. TVN wyemitował reportaż, który odkrył przed Polską majątek prezesa NIK: dwa domy, trzy mieszkania, grunty rolne i Rezydencję oraz stosunek najmu z pasierbem „Simona”. Przy okazji wspomniano o śmiesznie niskim czynszu i lukach w oświadczeniach Mariana Banasia.

Scena, w której odziany w biel i złoto „Simon” dzwoni do polityka i pyta, jak ma potraktować natrętnych dziennikarzy TVN, stała się hitem sieci, a powiedzenie „zadzwoń do Banasia” zaczęło znaczyć tyle, co „załatwię sprawę”.

23 września 2019 r. ośmieszony ojciec Jakuba „zawiesił działalność w NIK. 29 listopada CBA złożyło w stołecznej prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przez niego przestępstwa zatajenia dochodów i poświadczenia nieprawdy w zeznaniach majątkowych.

Na miesiąc przed wyborami Jarosław Kaczyński nie mógł tego zostawić. Banaś senior kontaktujący się z karaniem sądownie osiłkiem w złotym łańcuchu był obciążeniem dla partii i trzeba go było wyrzucić. Syn i ojciec z ludzi PiS-u stali się jego wrogami.

Jakub: – Przekonywałem tatę, że jeśli ustąpi, natychmiast zostanie zatrzymany i będzie miał zarzuty, bo straci immunitet. A pan z Żoliborza będzie mógł powtarzać, że „nie ma świętych krów”, i budować na sprawie Banasiów poparcie.

Ojciec uległ sugestii syna. Odmówił dymisji, powołał Kubę na społecznego doradcę i obaj czekali na atak. Pod koniec kwietnia 2021 r. agenci CBA weszli o szóstej rano do mieszkania w Pruszkowie, bo postępowanie zostało rozszerzone na synową i syna.

– Nie mówili, czego szukają, nic chyba nie znaleźli, ale czulem, że jeszcze wrócą, i się nie pomyliłem.

## OJCIEC KONTRATAKUJE

13 maja 2021 r. prezes NIK zorganizował konferencję o „przygotowaniu wyborów konfederalnych zarządzonych na 10 maja 2020”. Poinformował dziennikarzy, że decyzja o przeprowadzeniu elekcji w pandemii była „prawnie wadliwa”, a przygotowania (w tym wydanie ponad 50 mln na koperty) nie miały podstawy prawnej. W związku z tym NIK skierował do prokuratury doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez premiera Morawieckiego, szefa kancelarii Dworczyka, ministra aktywów Sasina oraz Mariusza Kamińskiego (prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania).

Dwa miesiące później Jakub Banaś polecił z żoną na Cypr. CBA czekało na wracających w hali przylotów lotniska Kraków-Balice. Syn szefa NIK został skuty i przewieziony w konwoju czterech aut do prokuratury w Białymstoku, gdzie z kolei obstawiało go na zmianę 13 agentów i policjantów. Po nocy odczytano mu serię zarzutów związanych z remontem Podskala. Te same – już bez zatrzymania – przedstawiono Agnieszce. Na oboje małżonków nałożono dozór policyjny.

– Oto państwo PiS-u – mówi Przemysław Wipler, który przed założeniem Republikanów był krótko posłem tej partii. – Napadają na rodzinę, zakuwają ojca w kajdanki przy żonie, wiozą na drugi koniec Polski, bo w Białymstoku są prokuratorzy, którzy słuchają partyjnych poleceń. Ale Jakub nie jest złodziejem ani przekręciarzem. Jest człowiekiem, który stanął PiS-owi na drodze, więc go trzeba zniszczyć.

Banaś: – Wszystkie prace przy willi Podskale wykonano zgodnie z umowami, można o tym przeczytać na stronie Willapodskale.krakow.pl. Zresztą już w trakcie śledztwa dostałem ze strony PiS-u nieoficjalny sygnał, że mogą porozmawiać o zawarciu zgody, jest jeden warunek: przestać wspierać ojca.

Bo Banaś senior dalej atakował PiS. Gdy prokuratura postawiła zarzuty synowi i synowej – on postawił zarzuty prokuratorowi generalnemu – na 30 września 2021 r. zaplanował kolejną konferencję, tym razem w sprawie „realizacji ustawowych zadań Funduszu Sprawiedliwości”. To podległa Ziobrze skarbonka do finansowania partyjnych przedsięwzięć: od fundowania sprzętu strażackiego gminom rządzonej przez ludzi Suwerennej Polski, po hurtowy wykup reklam w mediach ojca Rydzyska.

By wyprowadzić Mariana Banasia z równowagi o 6.40 przed konferencją policja zapukała do mieszkania jego żony w Krakowie i do syna w Pruszkowie. Mieli ciekawą podkładkę: ktoś, podszywając się pod Jakuba, wysłał na policję wiadomość o planowanym przezeń samobójstwie. List zawierał groźby „wysadzenia domu, by zniszczyć wszelkie dowody”.

„Pancerny Marian” briefingu nie odwołał. Ogłosił, że „kieruje do Trybunału Konstytucyjnego wnioski o stwierdzenie niezgodności rozporządzenia powołującego Fundusz Sprawiedliwości z Konstytucją”. Czyli zawnioskował o zamknięcie skarbonki Ziobry.

Także Banaś junior atakował rządzących, na antenie sieciowej, alt-prawicowej telewizji wRealu24 mówił: – Większość ludzi PiS kradnie na skalę przemysłową. A Jarosław Kaczyński pozwala. Cholerni pasozyci. (...) Rację miał Święty Augustyn, pytając: „Czym są państwa wyzute ze sprawiedliwości, jeśli nie jaskiniami zbójców?”. My ze Sławkiem Mentzenem idziemy do Sejmu, aby pokazać temu PiS-owskiemu establishmentowi, gdzie jest jego miejsce i dlaczego na śmietniku. Koalicji z Kaczyńskim nie będzie, nawet jak się pojawią na stole KGHM-y, Orleny, fundusze, fundacje, dotacje...

Dokładnie o tym samym zapewniali mnie wcześniej m.in. Sławomir i Tomasz Mentzenowie, rzeczniczka Konfederacji Anna Brylka i kandydaci do Sejmu.

– Można im wierzyć? – pytam socjologa prof. Jarosława Flisa.

– Niewątpliwie Konfederacja przedstawia dziś Kaczyńskiego jako głównego wroga. Zauważyli, że po 2000 r. zwykle najslabiej wypadają partie, które nie deklarowały dość jasno: czy są za kontynuacją, czy zmianą? Taka była Unia Wolności po rządach AWS, Samoobrona po rządach „pierwszego PiS-u”, a ostatnio – Kukiz. Wedle moich obserwacji jeszcze do 2020 r. konfederaci mogli się z PiS-em dogadać. Później postawili na jego przegraną. Tymczasem PiS mruga oczkiem: „Jak nam zabraknie po wyborach głosów, dobierzemy od was i jedziemy dalej”. Nic dziwnego, że Mentzen czy Banaś próbują temu zapobiec, deklarując: „Nigdy!”, ale ich rachuby na przedterminowe wybory i to, że się „wszystko rozstrzygnie”, uważam za niefractions. Nawet po drugich czy czwartych wyborach Konfederacja nie będzie rządzić samodzielnie. Moim zdaniem obecnie ich wynik to maks.

Sprawa karna małżeństwa Banasiów stoi w miejscu – dwa lata od postawienia zarzutów wciąż nie sformulowano aktu oskarżenia. Banaś junior nie ma dostępu do akt, więc nawet mi nie powie, co na niego mają.

Z Witoldem Ziobrą już się nie koleguje: – Od zwolnienia mnie z banku spotkał się raz, na schodach kościoła w Warszawie. Zamieniliśmy parę chłodnych zdań. Ale to dobry chłopak był i mało pil. ●



## Babcia poprodukcyjna

Iwasiów



**W komentarzach po raporcie Debiutanci '23 przygotowanym przez organizację Lata Dwudzieste i agencję Profeina powtarzana jest teza, iż w partiach, poza jedną, brak oferty dla młodych mężczyzn. Zaniedbani, porzuceni – zasilają elektorat skrajnej prawicy. Do kin weszła „Barbie”, w której Ken nie ma lekko. Nie nadąża za zmianami i nawet w optymistycznym finale musi się zadowolić pustą psychogadką i zacząć afirmacyjną pracę nad sobą.**

Przypomniałam sobie scenę rozgrywaną dwa lata temu w moim domu. Wnuczka przywiozła na wakacje całą walizkę Barbie. Bratu dawkowałam udział w zabawie, zwłaszcza przy czesaniu ulubionych blondynek. Coś tam negocjowali, skazani na siebie, aż w końcu chłopiec zrobił nalot figurką spoza dziewczęcego uniwersum i rozwalil plastikowy raj. Nastąpiła faza destrukcji, oboje rzucali lalkami, śmiejąc się nieco demonicznie. Trudno orzec, kto wygrał. Czy była to interwencja patriarchy w domu Barbie, czy zachęta, by razem uciec z krainy podporządkowania?

Z raportu wynika, że młode kobiety nie są tak zrewoltowane, jak by można sądzić, analizując Czarne Protesty. Preferencje, w tym odmowa pójścia do urn, miałyby wynikać z faktu nabywania uprawnień przez pokolenie permanentnego kryzysu. Jeśli ich rodzice są 40-, 50-latkami, to trudno twierdzić, że mieli z górki. Wychowywali się na ekonomiczno-rodzinnych huśtawkach, zaspokajając ambicje rozdzielanych obietnicami sukcesu rodziców. Ci z kolei, czyli moje pokolenie, ledwo wyszli z ograniczeń komuny, chcieli jeść pełną łyżką świat wcześniej lizany przez szybę, wpadając w nalogi, tracąc efemeryczne majątki i kariery wypatrzone w amerykańskich serialach. Nasi rodzice pamiętali powojenną biedę, uczestniczyli w wielkich przemieszczeniach ludności i awansie społecznym, placąc haracz systemowi. Odziedziczyli bezpośrednio wojenną traumę swoich

krewnych. Cofając się dalej, można dojść do kłopotliwego wniosku o uniwersalny charakter kryzysu.

Klientystyczna wizja polityki, zakładająca, iż wyborców pozyskuje się krótkoterminową „ofertą”, jest łatwiejsza i wygodniejsza niż przygotowanie obywateli i obywateli do udziału w życiu społecznym i zaproponowanie dalekosiężnego programu, a właściwie kilku do wyboru. Na szczęście nie jestem ani polityczką, ani politolożką, nie muszę mieć planu kampanii. Pracuję w edukacji, obserwuję więc braki w tej dziedzinie. Młodzi są wprasowani między nieaktualną legendę o wyjątkowym narodzie a rozchwianą wizję nowych ról. To nie partie powinny im udzielać odpowiedzi na pytania, kim być, jak żyć.

I nie młodzi są tą najbardziej wywołaną z narracji politycznych grupą. Ciągle o nich mówimy, ponieważ mamy nadzieję, że przeważą szalę. W gruncie rzeczy najbardziej widzialny spór ustrojowy, czyli kwestia praw kobiet, najmocniej zwraca się ku młodym. Oczywiście – pisuję na ten temat od wielu lat – prawa kobiet, w tym dostępność antykoncepcji i aborcji, definiują państwo, które je ustanawia. Policjne naloty na przychodnie prezentują stan demokracji. Zarazem jednak, na co zwracają uwagę aktywistki mojego pokolenia, zajęcie niemal całego pola debaty po lewej stronie przez te kwestie wygasza wiele innych, często nie pozwalając im choćby sformułować. Kobiety nie tylko rodzą dzieci, są też pracownicami, a potem emerytkami. Jeśli mówimy o niewidoczności – opozycja nie dostrzega osób w wieku, jakże to fatalna etykieta, poprodukcyjnym. Gdy odpada produkcja / zapobieżenie produkcji dzieci, znikamy. Nie w tym urodowo-rynkowym sensie, nad którym rozwodzą się czasopisma wykorzystujące popluczyny po feminizmie. Nasze potrzeby zdrowotne, mieszkaniowe, przeistoczenia z opiekunek w osoby do zaopiekowania, nasze kryzysy emocjonalne, puste portfele przechodzą do strefy prywatnej.

Emerytom „dają” na prawej flance: budzące zawiść waloryzacje świadczeń, obietnice darmowych leków i że się ich nie opuści aż do śmierci. Zamiast budowania systemu realnego wsparcia późnego etapu życia. Z poprodukcyjnych łatwo uczynić klientelę wyborczą. Mają tak mało, że każdy zysk je/ich zadowoli.

Gardlujące mimo zimna lub skwaru za prawem do aborcji kobiety po menopauzie, dawno uwolnione

z zagrożenia niechcianą ciążą, mówią: wychodzę na ulicę dla moich córek, wnuczek, dla młodego pokolenia. Bardzo bym chciała zobaczyć demonstrację solidarności z babkami, domagającą się opieki psychiatrycznej, geriatrycznej, towarzyskiej. Prawa do godnego wypoczynku, korzystania z sanatorium, w którym nie dzieli się pokoju i łazienki z kilkoma obcymi. Uszanowania intymności podczas procedur medycznych. Publicznej debaty o domach opieki – miejscach wygnanych poza widzialny świat. Szczęśliwa bym była, gdyby postulaty socjalne moich rówieśnic, zapadających po cichu na choroby cywilizacyjne, odchodzących na emeryturę, wypowiadały córki i wnuczki. Między fantazje mogą na razie włożyć oczekiwanie, że młodzi w szkołach zostaną przygotowani do szokownie odległej katastrofy, jaką wydaje się im starość. Zanim ją osiągną – do zadawania py-

masowa dziewczynom rekomenduje. Doświadczają jej dojrzałe kobiety po kilku sezonach protestów w sprawie aborcji. Dowiadując się, że rozblyśnięta wspólnota na placach był epizodyczny, nie włączyły ich we wspólnotę, w której mogłyby liczyć na zainteresowanie. Interesują się nimi rządzący, dając grosik po uprzednim zinfantylizowaniu, przebraniu w strój ludowy.

Parę dni temu w mediach społecznościowych pojawiły się zdjęcia kobiet z pigułkami wczesnoporonnymi. Ta akcja miała pokazać powszechne wsparcie dla pani Joanny poddanej brutalnej rewizji policyjnej, gdy zgłosiła się po pomoc do lekarki. Uświadomiłam sobie, że kwantyfikator „my, kobiety”, stosowany w najbardziej słusznej sprawie, bywa co najmniej mylący. Farmaceutyk z tej grupy nie mógłby mi się przydać. Popierając prawo do jego używania, muszę stanąć na zewnątrz, powiedzieć: osoby,

**Doświadczeniem kobiecej dojrzałości jest zdrada. Nie chodzi mi o tę miłosną, gdy partner znajduje sobie nową kochankę. Myślę o zdradzie głębszej, ukrywanej skrzętnie**

tań w imieniu sąsiadek, które powoli milkną. Bo stosunek do „nieprodukcyjnych” definiuje nas równie mocno jak prawo antyaborcyjne czy zasilki dla osób z niepełnosprawnościami.

Stare kobiety żyją na nierozpoznanym, cichym łądzie. Podobnie oczywiście jak mężczyźni, którzy jednak wciąż mają nieco zużyte, lecz odnawiane wzorce zaspokajające pragnienie żywotności. W polityce nie brakuje mężczyzn dojrzałych, związki starszych z młodszymi, późne ojcostwo są poważane, akceptowane i pokazywane. Staje się to udziałem nielicznych, lecz wspiera sferę symboliczną.

Doświadczeniem kobiecej dojrzałości jest zdrada. Nie chodzi mi o tę miłosną, gdy partner znajduje sobie nową kochankę. Myślę o zdradzie głębszej, ukrywanej skrzętnie przed zainteresowanymi. Odkrywa się ją po życiu wypełnionym troską o innych – ale i o samą siebie, co kultura

które potencjalnie mogą zająć w ciąży, powinny móc bez przeszkód kupić ten preparat. Ja zaś, wysłuchajcie i mnie, chciałabym dla mojej grupy wiekowej lepszej opieki ginekologicznej, endokrynologicznej, kardiologicznej. Takiej, która nie narusza mojej godności i oparta jest na zasadzie równych praw. Późny etap życia kosztuje więcej niż jednorazowy zakup lekarstwa, a przecież argumenty ekonomiczne są często przytaczane, gdy mówimy o receptach dla chcących przerwać ciążę.

Nie chodzi o albo-albo, o wyciszenie walki o prawa reprodukcyjne, gdy kolejne wydarzenia poruszają sumienia, w tym lekarskie. Jednak rzucenie okiem poza horyzont młodości przygotowałoby wszystkich na fakt, iż zmierzamy ku ubóstwu starczemu. Każda, każdy z nas i jako społeczeństwo. A starość może trwać długo, na pewno dłużej niż kampania wyborcza.

Inga Iwasiów

# POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &  
RAFAŁ SKARŻYCKI



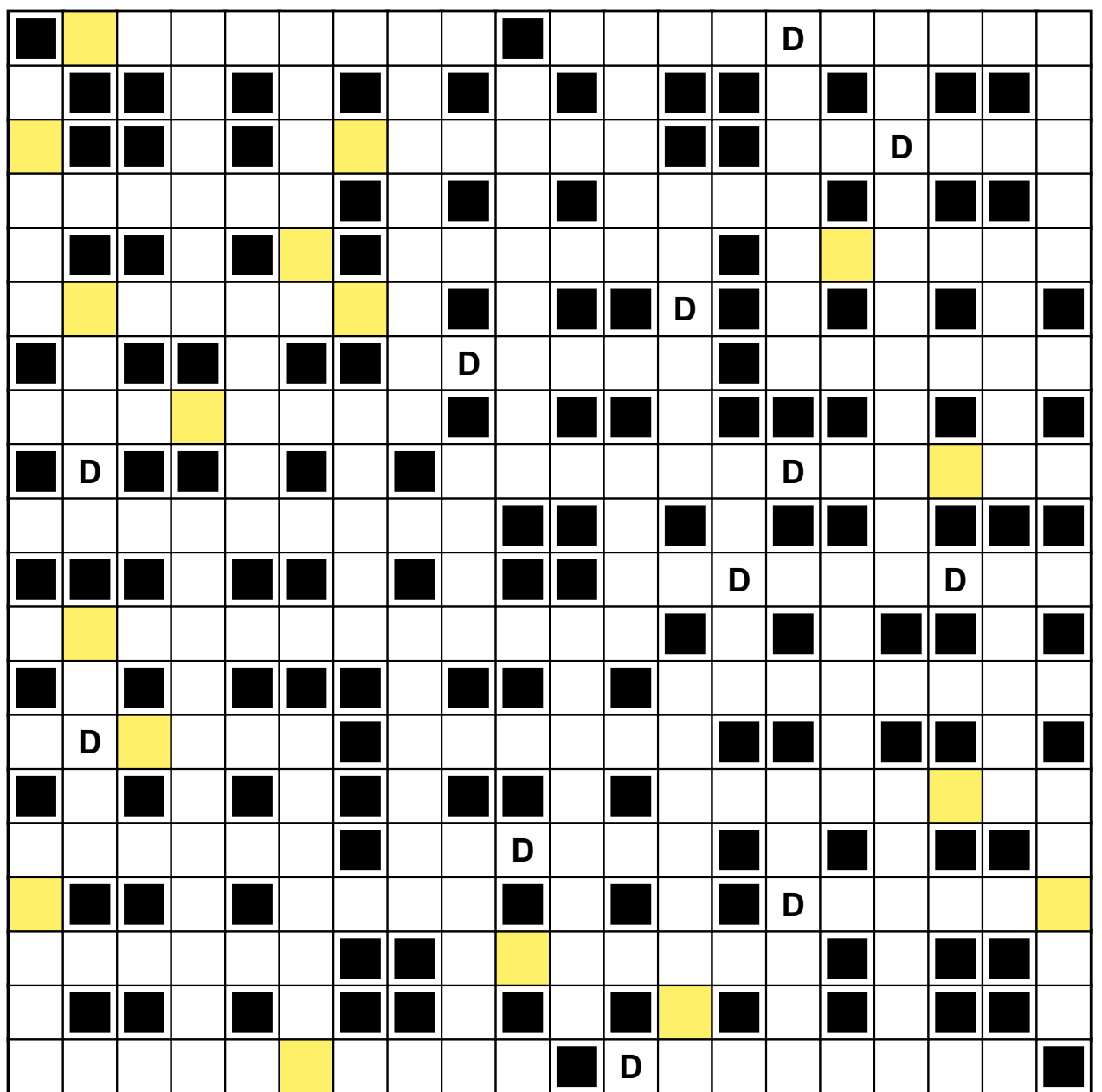


## jolekka

62

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery D. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Alojzy, zniszczył sekrety Pana Kleksa
- Amfiteatr Flawiuszów
- Azjata z Duszanbe
- Bartłomiej, zagrał w filmach „Drogówka”, „Dom zły”
- białka stanowiące niezbędny składnik pożywienia
- biorą spraye i powstaje
- celujący
- członek narodu tworzącego podstawową ludność Armenii
- ... do wojska (zaciąg)
- dokument regulujący sposób działania stowarzyszenia, fundacji
- duże owady o wydłużonym ciele, zamieszkujące wybrzeża wód
- ... egzaminacyjne, przygotowywane przez CKE
- Ga Ga (zanuć)
- Guggenheima – w Nowym Jorku
- gwarowo, dawniej: płaska beczulka do przenoszenia lub przewożenia mleka
- Inspektor ..., cyborg z serialu animowanego
- jadalne skorupiaki, małże, mięczaki (si, si)
- Karl, skomponował operetkę „Ptasznik z Tyrolu”
- kawał chłopca z „Quo vadis”
- konfekcja
- konkurencja lekkoatletyczna, którą uprawiał Józef Szmidt
- kraj, w którym „Czasem słońce, czasem deszcz”
- ... Krupińska, Miss Polonia 2012
- ... kwaśnych jablek
- miasto, którego zagadki rozwikływał Pan Samochodzik
- miłosny – w tytule opery Gaetana Donizettiego
- model Łady
- „Mój mąż jest z zawodu ...”, cytat z komedii „Poszukiwa-



- ny, poszukiwana” (wpisujemy w mianowniku)
- ... na honorze (coś uchybiającego naszej godności)
- najważniejszy pięciokąt USA
- nazwisko kojarzące się z „Biblioteką Babel”
- ... Osaka, japońska tenisistka
- owoc z dłoni
- ... Pistons, zespół koszykarski w lidze NBA
- pojazd taki jak trabant
- ponowne zakażenie się tym samym zarazkiem
- potocznie: szachrajstwa, krętactwa, szwindle
- powieść poetka Byrona
- proces powstawania nowych pszczelich rodzin
- przedmiot chroniący przed złymi duchami, chorobą, pechem
- przydomek Elżbiety Bowes-Lyon, żony Jerzego VI
- rozpylacz

- Sigrid, norweska pisarka, noblistka („Krystyna, córka Lavransa”)
- słomiany miś z komedii „Miś”
- słuchają bossa
- środek wywołujący przywidzenia, omamy
- taka rola, że po prostu zero wzruszeń
- trzymają pieczę nad budżetem wójta
- ... Tussauds
- tytuł powieści, której bohaterką jest Róża Żabczyńska
- wiadomości podawane przez agencje prasowe
- widliszek
- Wojciech, występował w zespole Niebiesko-Czarni
- „Wybudowałem ... trwalszy niż ze spiżu” (cytat z Horacego)
- wydanie dzieła drukarni
- zabawa na ludowo
- zakwitła koło niego jabłoneczka (bielusieńko)
- zwycięstwo, wiktoria

**Rozwiązanie z poprzedniego numeru:** Moje eldorado.

**Rzędami:** Bullock, diagramy, Oregon, Duńczyk, Opole, proces, nugat, perelki, Thor, Republika, efekt, repasaż, areszt, smardz, trele-morele, odchudzanie, narośl, Kansas, butelki, Albin, strongman, romb, renifer, Grupa, żuchwa, łazik, Chochoł, iglaki, pieniądz, abnegat.

**Kolumnami:** uskok, ukulele, Koterski, Francja, orzełek, sandalki, trzódka, kokpit, samorząd, hipika, De Mono, nibynóżki, Rosati, rektor, nosorożce, ochłap, Ludlum, izohipsa, bracia, Rumunia, Grenoble, Lincoln, Zieloni, Malajkat, niedola, Tesla.

Miej oko na jolekka

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



**KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ**

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

**Redaktor prowadzący:** Mariusz Burchart (red. naczelny). **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Piotr Gluchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Ariadna Machowska, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyfko, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wojcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Jacek Konarowski. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Diana Salmanoowicz. **Adres redakcji:** ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 46 37, e-mail: duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.